

TYGODNIK PRAWDA

ŁÓDŹ

WARSZAWA

POZNAŃ

Sprawy tygodnia

UROCZYŚĆCI WILEŃSKIE.

TEGOROCZNY Zjazd Legionistów, oczekiwany w kraju i zagranicą z sensacyjnym podnieceniem, stał się imponującą manifestacją, o charakterze jednak zupełnie innym niż oczekiwano. Zamiast sensacji politycznych — *wspaniałej i wzruszającej inauguracji dziesięciolecia odzyskanej niepodległości*, w całości poświęcona wspomnieniom bohaterskiego wysiłku legionowego, który na powierzchni życia polskiego w chwili wybuchu wojny światowej, był *jedynym przejawem niczym nieskazanej i niezłomnej woli odzyskania niepodległości za wszelką cenę.*

Nawet uczestnicy tego Zjazdu nie zdawali sobie sprawy z tego, czym stanie się ta uroczystość i zapewne wielu z nich jechało do Wilna w podnieceniu bojowym, z sercem pełnym gorczy i zniecierpliwienia — jechali jakby na zbiórkę dla wyśuchania rozkazu, z postanowieniem w duszy spełnienia tego rozkazu.

W pierwszej części uroczystości zjazdowych wyraźnie znacząco było to podniecenie i ten nastrój bojowy. Dał temu wyraz *general Rydz-Smigiły* w swoim przemówieniu, w którym mowa o „niedokończonym marszu” i mówiąc o celu Zjazdu.

Echa tych przygrywek miały jednak szybko i bezpowrotnie utonąć w morzu łagodnych, pieszczących ucho i za serce chwytających akordów mowy Marszałka Piłsudskiego.

MOWA MARSZAŁKA PIŁSUDSKIEGO.

„Gdy w Wilnie mówię, nie szukam gorczy, nie wolam zgrzytów”.

Takimi słowami zaczął Marszałek Piłsudski swoje przemówienie. A za temat tego przemówienia obrał sobie rozważanie nad słowem „miły”. Miłe też i pogodne było to przemówienie. Miłe i rzewnością za serce chwytające. Bo oto o „miłym” mówił człowiek, dla którego życie miłym nie było, który nie stąpił po drodze gładkiej i równej, ani nie przeszedł przez życie aleją cienistą, gdzie co krok puszysta murawa zaprasza do rozkosznego odpoczynku i pieści zmysły zapachem kwiecia i kojącą symfonią barw. Bo o „miłym” mówił człowiek, którego życie wiodło ścieżkami stromymi i nieraz tak ciasnymi, że można było tylko naprzód iść lub runąć w przepaść.

O „miłym” mówił człowiek, któremu ciemnie przydrożne szatańskie strzepy podarły i ciało okrwawiły, a twarde kamienie stopy okaleczyły.

O „miłym” mówił człowiek, który gorczył pił w każdym dniu swego mozolnego życia, bunt w sobie dławiał i siły sterał na zmaganiu się z samym sobą.

O „miłym” mówił Józef Piłsudski, zohydżany i bezczeszczony twórca Legionów, — pierwszy Naczelnik Państwa Polskiego, z bfołem mieszany, za złodzieja insygnów królewskich podawany, nad którego każdym krokiem złośliwie, zjadliwie i poniżająco czuwały niezliczone komisje, — pierwszy Marszałek Polski i pierwszy Naczelny Wódz armii polskiej, spotwarzony o to, że bezprawnie przywłaszczył sobie swój stopień wojskowy, posadzany publicznie o tajemne konszachty z wrogiem.

O „miłym” mówił Józef Piłsudski...

A o „krzywdach”, „niesprawiedliwościach”, „ucisku”, „cierpieniach”, „męczennictwie”, „przykrościach”, „Golgocie”, — mówił ciągle jeszcze inni...

Gdy myślał, Panowie, o słowie „miły” i o wszystkich uczuciach, które czarem, urokiem ku sobie skłaniają, zawsze przypuszczał, że człowiek, gdy do grobu idzie, poduszkę wspomnień ze wszystkich

swoich miłych przeżyć upłata, tak, by to, co miłe, szeptało strudzonej głowie o tem, co miłe pamięta...

Niepodobna bez głębokiego wzruszenia czytać tych słów, gdy mówi je Piłsudski. Człowiek, który ze swoich przeżyć, mógłby zbudować górę ciemistą, szuka mozolnie kilku chociażby jaśniejszych wspomnień, aby upleść sobie małą poduszkę, by utrudzoną głowę na chwilę do niej przytulić, gdy *ciężko oddycha, a poranek — gdy budzi się z uczuciem ciężaru*. Zaste, obraz do głębi wstrząsający!

* * *

Posłuchajmy tej spowiedzi, zobaczymy to „miłe”, które ten człowiek zdołał zebrać w swym życiu:

Lata dziecięce i wspomnienia matki.

...Gdy dziecko w trwodze się budzi, pierwsze spojrzenie widzi nad sobą matkę schyloną, by pieszczotą gładzić dziecko, by je uspokoić.

...Gdy mówię o matkach, ileż miłych wspomnień i miłych przeżyć ciągnie się ku matczyne i miłe...
Ognisko domowe i dziecko.

Jeszcze jedna, może najbardziej jaszkrawa prawda „miłego”. Jest nią dziecko. Nad głową stoi czas, nad duszą świszczy bat i człowiek się z sobą mocować musi, aby wytrzymać, i wtedy — ramie małego dziecka — dziecka, prawda bezsilnego, co myśleć nie umie, lecz czarownie się uśmiecha, dłońmi pieści tak, jak jedwab, zmarszczki wygładza i troski zwałczać kaze...

A potem już tylko wspomnienia z czasów legionowych: Miłym wspomnieniem są pierwsze chwile legionowe: wymarsz pierwszych strzeleckich oddziałów, gdy buchał płomień zapału, a serce rozpięrało szczęście, że idzie się walczyć o niepodległość Polski.

Moi Panowie! Gdysmy ongiś szli w pole, gdy byliśmy garstką, różniliśmy się od wszystkich żołnierzy dookoła i niczym innym myśleliśmy się nie różnili, jak że *pięć bujnię czuła i śpiewała huczną pieśń odrodzenia naszej ziemi...*

...myśmy szli po drodze do pewności odrodzenia, w odrodzenie wierząc i o odrodzeniu myśląc...

Wśród walk, wśród niebezpieczeństw i trudów wojny żołnierz poznał, swego wodza i uczył się kochać go, podziwiać i ubóstwiać. Objawy tych uczuć żołnierskich stanowią jedno z najmiłszych wspomnień Komendanta.

...Wyszedłem. Księżyc srebrzysty kładł swe cienie wesołe i smutne w lesie. Obejrzałem się dookoła i nagle szloch czło wieka usłyszałem. Zwróciłem oczy w tamtą stronę. Księżyc błyskał na karabinie mojej warty, warty dowódcy, co na strażę swego odcinka stała. Spojrzałem, szary żołnierz skulony na płocie płakał. Wstyd mi się zrobiło. Podszedłem ku niemu zobaczyć i spytać, czemu płacze — może mu pomóc potrafię. Miłe chłopię oparte piersią na płocie, ręką spoczywało na karabinie i szlochało. Podniosłem jego twarz i ujrzałem: — twarz małego chłopca, dziecinna, stał na warcie i płakał jak dziecko: *Lzy mu z oczu się lały, tak jak u dzieci. Twarz młodociana i karabin przy nim. Pierś rozrywał mu szloch, tak jak rozrywa szloch pierś mężczyzny. Poglądziłem go po twarzy i spytałem: Chłopcze, co ci jest? Myślałem, może mu w rodzinie ktoś zmarł, może biedak płacze po objęciach zdradliwej kochanki, może urlopa ci trzeba (dam ci urlop). Przygłnął ustami do mej ręki i szlochał jeszcze silniej. Uspokajałem go, jak mogłem. „Komenda-*

Cena numeru
40 gr.

Prenumerata z dostawą do domu:

miesięcznie . . 1.35 zł.

kwartalnie . . . 4.— zł.

Konto w P.K.O. № 63.353

dancie — ryczał chłopiec — ja nie mogę już patrzeć, jak Komendant się męczy i jak pomóc w niczem Komendantowi nie mogę”...

Piłsudski ma serce i widzi serce. Uczucia swoich żołnierzy przyjmował jako dar najcenniejszy i zamknął je w sercu swoim jako skarb najdroższy. Za serce sercem płacił. W szeregach swoich widzi pierwsze szeregi armii polskiej. Wpaja przeto w żołnierzyków swoich uczucia dumy i uczy ich na każdym kroku zaznaczać, że *„różnią się od wszystkich żołnierzy dookoła”*, że nie są austrjackim „landszturmem” z polską komendą, że nie służą nikomu obcemu, że nikomu się nie wysługują — *lecz że Polsce służą, że na Polskę są ordynansie*. I dumny jest Komendant, gdy widzi, że serce żołnierskie zrozumiało go, że nawet w „batiarach” lwowskich obudził się duma żołnierza polskiego. Więc do najmiłszych swoich wspomnień zalicza taki oto drobny epizodzik, opowiedziany mu pewnego razu z oburzeniem przez jakiegoś austrjackiego majora n. b. Polaka:

...Opowiada mi major zdarzenie, które miał z żołnierzami Pierwszej Brygady. Powiedział mi on: Szedłem po ulicy i widzę: żołnierze idą w czasie niedozwolonym, bo około godz. 10 wiecz. Idą legionistów. Dwóch nieco zataczających się żołnierzy, którzy przechodząc nawet mnie szturchnęli. No, wie pan, Panie Brygadjerze, to są rzeczy zupełnie niedozwolone. Zatrzymałem ich stanowczo. Patrzyli na mnie, honorów mi nie oddali. Spytałem: Co wy za żołnierze? My z Pierwszej Brygady. Dobrze, z Pierwszej Brygady, ale zachowujecie się tak, jak nie żołnierze, mówiłem. Ja ich skarcić chciałem. Ależ to z nimi wytrzymać nie można. My z Pierwszej Brygady, powiedzieli, a Pan był na trocie? Biedny majorzyna, trocne mu się zimno zrobiło. Jeden z nich sięgnął do kieszeni, długo w niej dłużył i gdzieś z tyłu wyjął order Virtuti Militari, ale order austrjacki, tak tylko nazwany i powiedział: Masz. Potem gdzieś z tyłu wyjął pruski order: Masz. Zawrócili i poszli. Te ordery obce na tyłach noszone, a na piersiach dumne odznaki z memi literami. To jest moja brygada.

To trzeba dwa razy przeczytać i dobrze się nad tem zastanowić. Józef Piłsudski uważa ten epizodzik za tak drogie wspomnienie, że przyjął je do wianka tych, które mają szeptać „strudzonej głowie o tem, co miłe pamięta”. Jest ono dla niego świadectwem, że jego brygada była pierwszą brygadą armii polskiej, że tylko Polsce służyła i że każdy prosty żołnierz wiedział o tem. Bił się mężnie dlatego, że wódz wpoił mu w duszę poczucie honoru żołnierza polskiego, ale od nikogo nagrody za to nie przyjmował, nikomu się mięstwem swoim nie wysługiwał. Krzyże austrjackie i niemieckie na tyłach nosił. Na piersi miał miejsce tylko dla odznaki z cyfrą komendanta, a w piersi gorące pragnienie, by obok tej odznaki zabłysnął kiedyś krzyż wojskowy polski.

I jeszcze jedno wspomnienie żołnierskie Wspomnienie, które szeptało strudzonej głowie, że posiadał bezgraniczne zaufanie swoich żołnierzy. Ze był ich ojcem i bratem, najbezinteresowniejszym opiekunem, że nie nadużył ich zaufania, odwagi i wiary, że jego żołnierze czytali w jego duszy jak w księdze otwartej i swoje dusze przed nim otwierali. Ze na najwyższym w Państwie stanowisku pozostał dla nich tym samym Komendantem, na którego rozkaz poszli bić się, aby Polska była. Ze przeto — gdy zawsze żołnierz widzi w nim kolegę i brata — widocznie ani na chwilę nie przestał być żołnierzem na służbie Polskiej, gdziekolwiek los go postawił, jakąkolwiek służbę kazało mu pełnić przeznaczenie. Ze był i jest nietylko pierwszym ale i najlepszym żołnierzem Polski.

Treść numeru:

UROCZYŚĆCI WILEŃSKIE.
MOWA MARSZAŁKA PIŁSUDSKIEGO.
MIŁE WSPOMNIENIA JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO.

WILNO.
ZATARG POLSKO-LITEWSKI

MINISTER MORACZEWSKI.
Dr. G. Doborzyński.

HISTORJA PAKTU KELLOGA.
Bogusław Zabłocki.

Z WENECJI I O WENECJI. R. G.

W WIEDNIU. Cezary Jellent.

BISMARCK. M.

RADJO. Aud.

UWAGI KRYTYCZNE.
Dr. Marceł Barciński.

KONIN. Zygmunt Lorentz.

O LOCIE PTAKÓW I LUDZI.

REKORD SZYBKOŚCI.

TEATRY WARSZAWSKIE.

KRONIKA GOSPODARCZA.

KRONIKA LITERACKA.

PRZEMIANY MAXIME'A JOLLET. El. G.

Wspomnienie to, to znowu drobny epizodzik. Podczas przerwy w czasie jakiejś akademii, czy innej uroczystości wojskowej w Warszawie, Naczelnik Państwa, oglądając lokal, trafił do bufetu.

...zabłądziłem do bufetu. W bufecie było dość dużo ludzi: Obejrzałem się i poszedłem do bufetu. Podskoczyło do mnie kilku podoficerów. „A kolega, z którego pułku?” — Z piątego. Komendant, jak do nas przyszedł, to my tu zaraz wstawiamy. Dać wódki. My płacimy. Komendant nie płaci.

A dookoła attaches wojskowi obcych mocarstw z przerażeniem spoglądali na bratanie się Naczelnego Wodza z podoficerami. I szła wódeczność za likierem, likier za wódecznością. Ja mam głowę mocną, przepiję nawet podoficera (oklaski). Wydobylem świeżo otrzymaną w prezencie od oficerów belwederskich papierosnicę. „Ho, ho, ho, to ci Komendant fajną papierosnicę wyłasował. A wie, Komendant, że Komendant mnie papierosa dłużny?” „Zwracam dług”. Wziął, obejrzał, powąchał: „Dawniejsze austrjackie pewno były lepsze”.

Mówi to wspomnienie Piłsudskiemu: Zaszczyły, władza, dostojęstwa, potęga, nie skazyły twego serca żołnierskiego. Pozostałeś żołnierzem i jako żołnierz tylko Polsce służyłeś. Dlatego między tobą a żołnierzem nie wyrosła nigdy nieufność i nic nie przecięło nici sympatii i zaufania. Miły musi być strudzonej głowie taki szept.

Ale jedno wspomnienie nie opuszczało go przez całe życie: Wspomnienie Wilna, miasta rodzinnego..

„Jedno z najmiłszych, jakie mam i jakie przeżyłem, jest Wilno, jest miasto moje rodzinne. I nieraz tam w Magdeburgu o Wilnie myślałem, do Wilna tęskniłem. Miłe miasto. Rzędem biegały mury, pagórki, otoczone zielenią, pieszczą mury. Mury tęsknie na pagórki spoglądają. Miłe miasto. Gdy na który z pagórków się wyjdzie, ku niebu przez mgłę oparów błyszczy do gór wieżycze, wieżyczki, na których, gdy dzwony zadzwonią, niewiadomo, czy się skarżą, czy o łaskę proszą, czy tęskny tylko do nieba głos wznoszą. Miłe miasto. Miłe mury, co mnie dzieckiem niegdyś pieściły, co kochać wielkość prawdy uczyły, miłe miasto z tyłu, tyłu przeżyciami. Miasto — symbol naszej wielkiej kultury i państwowej ongiś potęgi. Dynastia Jagiellonów, co nad wieżyczkami Krakowa i wieżami Wilna połączył niegdyś panował. Wilno Stefana Batorego, co uniwersytet zakładał i mieczem nowe granice wybijał. Wielcy poeci i wieszczowie, co naród pieścili słowem i w czar zaklęwanymi słowami życie narodowi dawali. Nie gdzieindziej jak tu, w tej samej szkole, gdzie ja biegałem w tych murach, pięknie wołających do Boga, uczyli się, jak ja kiedyś w przeklętej rosyjskiej szkole.

Wszystko piękno w mej duszy przez Wilno pieszczono. Tu pierwsze słowa miłości, tu pierwsze słowa mądrości, tu wszystko, czym dziecko i młodzieniec żył w pieszczocie z murami i w pieszczocie z pagórkami. Jedno z najpiękniejszych miast w świecie”.

CZYNNIKI POLITYKI PAŃSTWOWEJ

SPRAWY SPOŁECZNE — GOSPODARCZE —
POLITYKA WEWNĘTRZNA I ZAGRANICZNA

Szczęśliwe miasto, któremu taki hymn wyśpiewała dusza wielkiego budowniczego Polski. Mówiąc o Wilnie, Piłsudski wznosił się na szczyty poetyckiego uniesienia.

Przepiękny ten ustęp zasługuje na to, aby wryty został w marmurze złotymi zgłoskami i wmurowany w ścianę najdroższej Wilno budowl.

A gdy Polska ledwie żyć poczyniała, gdy ze wszystkich stron żądano naszej ziemi, gdy na głowę Piłsudskiego spadł cały ciężar troski o budowę fundamentów państwa i o obronę i wytyczenie jego granic, ani na chwilę nie przestał myśleć o Wilnie.

„Wilno musi być moje...!”

I tu Marszałek zamyka wieniec swoich wspomnień wspomnieniem jak to żołnierz legjonowy zdobył Wilno, aby dać je Komendantowi w podarunku wielkanocnym:

...Wyscie stanowili najpewniejszego żołnierza, żołnierza, który mnie nigdy w wojsku nie zawiódł, który dał mi wszystko, co żołnierz wodzowi dać musi. Was powołałem. Szła wielkanocna pora, gdy bataljon za bataljonom, szwadron za szwadronem do Wilna spieszyli. I szła pogawarka wśród wiary: Komendant nasz Wilno kocha, na Wielkanoc Wilno w prezencie Mu damy. Prezent uspaniały. I gdy myślę, że nie sądzę nawet o ważności Wilna dla nas, jako prezent, jako pieczęć dla serca Komendanta wieleście mi dali i gdy pomyślę, że tam gdzieś na Rosie u wrót cmentarzy mogiłką za mogiłką leżą jedna przy drugiej, jak żołnierze w szeregach ci, co życie dali, by Komendant serce pieścić, to mówię, że miłem to być musi i gdy serce swe grobem poję, serce swe tam na Rosie kładę, by wódz spoczął z żołnierzami, co mogli tak pieścić dumnego wodza czoło, co mogli tak życie dawać jedynie dla prezentu.

OTO PODUSZKA miłych wspomnień Józefa Piłsudskiego. Niewiele ich jest, bo niewiele miłych chwil miał w życiu swoim Piłsudski. Ale zato jakie drogie są te nieliczne. Tych kilka bezcennych pereł zdobył Piłsudski całym swoim życiem i skarbem swoim pochwalili się przed najbliższymi sobie.

Daleki był Piłsudski w Wilnie od wszelkiej polityki, daleki był od tego, by ten przepiękny poemat swojej mowy, by tę rzewną i tkliwą spowiedź swojej duszy sprofanować chociażby najlżejszą aluzją polityczną.

„Gdy w Wilnie mówię, nie chcę w swej mowie ni zgrzytów ni goryczy...”

MILE WSPOMNIENIA posiada Marszałek Piłsudski tylko z czasu dzieciństwa, z czasów wileńskich i z czasów legionowych. A z długich lat swej ofiarnej pracy w Polsce Niepodległej ani jednego, bo wspomnienie zdobycia Wilna jest dalszym ciągiem wspomnień legionowych. Nielicznymi, jaśniejszymi punktami w tem paśmie cierniowym, to zjazdy legionowe...

A jednak ten człowiek, którego życie było czyszcem i piekłem jednocześnie, za temat swego przemówienia, na które czekała Polska i cały świat z największym napięciem, obrał sobie słówko „mily” i nie pozwolił, aby do słów jego padła jedna kropla z morza goryczy, które zamknął w sobie.

Czy to mała sensacja? Zdaje nam się, że nieskończenie większa niż byłby rozkaz marszu na Kowno.

Dlatego też na wstępie powiedzieliśmy, że tegoroczny Zjazd Legionistów w Wilnie był najwspanialszą, jaką tylko wyobrazićby sobie można inauguracją dziesięciolecia odzyskania Niepodległości, u progu którego się znajdujemy.

Mowa Marszałka Piłsudskiego ma olbrzymie znaczenie. Mowa ta powinna być zrozumiana jako apel, że nadszedł czas wyrzucić z serca gorycz i żale a przywołać na pamięć wszystko co miłe, bo

.....jest w tem czar i urok. Urok i czar, który jest silniejszy nad moce i piękniejszy nad piękno, który daje siłę przyciągającą i duszę skuwającą ku sobie tak, że niebo sprowadza na ziemię...”

Tak jest, nadszedł czas, aby z serca wyrzucić żal i gorycz i otworzyć duszę dla tego, co miłe.

Dziesięć lat pracy przy budowie gmachu niepodległości i ani jednego miłego wspomnienia. To potworne. Tak żyć nie można.

Ale, aby zarobić na miłe wspomnienia, któreby kiedyś potrafiły szeptać strudzonej głowie o tem co miłe pamięta, trzeba najpierw gorycz z serca wyrzucić.

Marszałek dał przykład...

* * *

ZATARG POLSKO - LITEWSKI.

KONFERENCJA POLSKO-LITEWSKA, projektowana na 30 sierpnia w Genewie, zapewne do skutku nie dojdzie, gdyż w ostatniej chwili rząd kowieński odpowiedział odmownie na propozycję polską, aby zamiast w Królewcu, konferencja ta odbyła się w Genewie. Ponieważ Polska według wszelkiego prawdopodobieństwa i według opinii miodnorodajnych czynników polskich na odbycie konferencji w Królewcu się nie zgodzi, będą musiały nastąpić nowe rokowania a co zatem idzie, termin konferencji będzie musiał ulec zwłoce.

Po tej zwłoce spodziewa się p. Woldemaras pewnych korzyści. Przedewszystkiem wobec nie dojsia do skutku konferencji będzie można z nadzieją powodzenia próbować zepchnąć sprawę polsko - litewską z porządku dziennego nadchodzącej sesji Zgromadzenia Ligi Narodów, a conajmniej nie będzie podstaw do uważania rokowań, nakazanych przez Ligę, za zerwane i do obciążania tem zwaniem rządu litewskiego. Drugim bardzo ważnym względem, dla którego p. Woldemaras pragnie odwlec termin zebrań się konferencji jest zainscenizowana na wielką skalę antypolska kampania międzynarodówki komunistycznej i socjalistycznej. Obie te międzynarodówki, na odbytych prawie równocześnie kongresach uchwaliły manifesty, ostrzegające świat przed rzekomymi wojennymi planami Polski w stosunku do Litwy. Akcja, mająca na celu rzucenie na Polskę podejrzania, że dąży do zbrojnego zatargu z Litwą i do aneksji Litwy, prowadzona jest na wielką skalę i Woldemaras słusznie spodziewa się po niej pewnych korzystnych dla siebie skutków już na wrześniowej sesji Ligi Narodów.

Piwo to warzą nam Niemcy, którzy panicznie boją się rozszerzenia się wpływów Polski na Litwie kowieńskiej, gdyż to musiałoby pociągnąć za sobą fatalne skutki dla Prus Wschodnich, które stałyby się dzięki temu wyspą, otoczoną zewsząd wpływami polskimi. Okazuje się też teraz, że socjalistyczny rząd w Niemczech jest dla nas w sprawie litewskiej o wiele bardziej wrogim, niż rząd nacjonalistyczny. Rząd ten bowiem potrafił w krótkim czasie zaalarmować wszystkie międzynarodówki socjalistyczne i komunistyczne i za ich pośrednictwem dążyć będzie do wywołania jakiegoś niekorzystnego dla Polski zwrotu w sprawie wileńskiej i w całokształcie zatargu polsko - litewskiego.

Socjaliści polscy starają się obronić swoich niemieckich towarzyszy przed tym zarzutem i twierdzą, że stanowisko Niemiec w zatargu polsko - litewskim zależne jest przede wszystkim od traktatów, jakie łączą Niemcy z Rosją. Zdaniem naszych socjalistów w problemie polsko - litewskim znacznie więcej zainteresowana jest Rosja niż Niemcy. Jest to z gruntu fałszywe stanowisko i zapewne żaden z światlejszych socjalistów nie wierzy, że tak jest w rzeczywistości. Jest bowiem wprost przeciwnie: W sprawie litewskiej stanowisko Rosji sowieckiej uzależnione jest w dużej mierze od polityki niemieckiej. Niemcy już w Rapallo zobowiązały Rosję sowiecką do współdziałania z nimi, by niedopuszczyć do rozszerzenia wpływów polskich na Litwę kowieńską. I Rosja z tego zobowiązania, polegającego prawdopodobnie na wzajemności w innych sprawach, wywiązują się. Z ramienia Niemiec urzęduje też w Kownie p. Woldemaras.

Nowy rząd

JĘDRZEJ MORACZEWSKI
Minister Robót Publicznych,

Minister Robót Publicznych inżynier Jędrzej Moraczewski, posiada również jasną świadomość w jakim kierunku prowadzi pracę podwładnych mu urzędów. Powszechnie znanym faktem jest, że w kwestji dróg znajdujemy się w tyle poza wszystkimi sąsiadami z zachodu. Budowa dróg jest przeto jednym z pierwszych zadań ministra robót publicznych. W mowie, wygłoszonej dnia 19. IV. b. r. na komisji budżetowej w sejmie stwierdził inżynier Moraczewski ten fenomen niezwykle, że:

„Na kresach jest więcej kilometrów kolei, niż szos, co jest zjawiskiem jedynym w Europie. Na istniejących tam szosach rośnie trawa: można wydzierżwiać je na sianośy”.

To niepojęte zacofanie zniweczył, uczynił Polskę w dziedzinie komunikacji państwem europejskim -- to zadanie nie małe. Kto go dokona, położy niespożyty zasługę dla całych pokoleń obywateli swego kraju. Jak się te drogi budować będą, że nie pominięte zostaną najnowsze wynalazki techniczne w tej dziedzinie, świadczą następujące słowa inż. Moraczewskiego:

„Do budowy dróg odbywają się próby z krzemowaniem, t. j. z użyciem szkła wodnego, którego się używa takie do ścian”.

Mówca dodaje słów kilka poświęconych pięknemu ustępowi z ostatniej powieści wielkiego pisarza:

„Przypomina się marzenie Żeromskiego o szklanych domach, które dziś wcale nie jest dalekie od ziszczenia”.

Dla komunikacji i rozwoju przemysłu pierwszorzędną znaczenie ma elektryfikacja kraju i wyzyskanie po temu białego węgla w formie naturalnych spadków wody. Minister chce w tej dziedzinie osiągnąć ten rezultat, ażeby główne ciągi elektryczne były w rękach państwa. Oferty cudzoziemskie, przeważnie amerykańskie i angielskie, traktowane są z rezerwą. — Z przedsiębiorstw na wielką skalę, mogących Polsce zyskać imię jednego z państw przodujących cywilizacji, wymienić należy osuszenie Polesia. Mówi o niem minister Robót Publicznych temi słowy:

„Projekt osuszenia Polesia obejmuje 1.800.000 hektarów. Będzie to największe przedsiębiorstwo tego rodzaju w Europie”.

Wykonanie projektu trwać ma lat 5, a koszt obliczony jest na półtora miliona rocznie.

Ostatnim punktem przemówienia ministra Moraczewskiego była kwestja odbudowy kraju po zniszczeniu, spowodowanym wielką wojną światową. Minister obrazowo przedstawia dotychczas trwające straszne konsekwencje wojny na kresach wschodnich Rzeczypospolitej. W ręku ministra Robót Publicznych jest fundusz, przeznaczony na odbudowę kraju. Całą kwotę z roku ubiegłego obrócono na budowę domów dla mieszkańców 6 województw kresowych, którzy mieszkali jeszcze w „ziemiakach”. W ten sposób zdołano 20.000 rodzin przenieść z kretowisk wojennych do mieszkań. Pozostaje jeszcze 40.000 rodzin. Inżynier Moraczewski wyznaje bez afektacji:

„Uważam tę potrzebę za tak ważną, że na razie wstrzymałem wszelkie inne odbudowy: szkół, kościołów, budynków użyteczności publicznej. Tak będę nadal robił, póki te „ziemiaki” w całości nie znikną w naszym kraju”.

Jest to więc także wytyczne w kierunku działalności ministerstwa na najbliższe lata. Trwałoby to będzie zasługa wobec kresów państwa: należy pamiętać, że już 1/3 pracy wykonano.

Nic dziwnego, że wobec tak pozytywnej, z taką odpowiedzialnością podejmowanej różnorodnej akcji Ministerstwa Robót Publicznych, zyskała ona aplauz nawet u wrogów. Na tymże posiedzeniu komisji budżetowej sejm w dn. 19. IV. b. r. najbardziej zawzięty krytyk rządu poseł Trampczyński wyraził uznanie ministerstwu temu za ruchliwość, zwłaszcza w dziedzinie „kosztownych eksperymentów”, których nie podejmie się kapitał prywatny. Oczywiście jest tu mowa w pierwszej linii o imponującym perspektywami projekcie osuszenia Polesia.

Że minister Moraczewski został ponownie zaproszony do rządu jest wobec jego działalności i poglądów na zadanie jego resortu rzeczą zupełnie zrozumiałą.

Jeżeli nie przytaczam charakterystyki po-

Liga przeciwbankietowa

W Paryżu zawiązała się liga przeciwników przyjęcia bankietowych.

Ile serc zabić musiało zazdrośnie w Polsce pod wrażeniem tej wiadomości! Tyle szczęścia! Ani jednego bankietu ani dziś, ani jutro, ani za miesiąc — nie, to się w głowie nie mieści!

A przeciw to takie proste. Trzeba było tylko wpaść na ten śmiały pomysł, że walka z okrutnym nieobyczajem doskonale się nadaje jako hasło, które zgromadzi pod swym sztandarem liczny zastęp tych wszystkich, zarówno fetowanych, jak fetujących, którzy odczuli już na sobie bezlitosny ciężar dokuczliwej pańszczyzny. Śmiałość pomysłu polegała tylko na głośnym wypowiedzeniu myśli, która drzemała w każdej głowie, ale nie wiedzieć dlaczego pretendowała do nietykalności. Więc śmiałość było potrzebna do nazwania po imieniu całej nedoręczności tego, że dla podkreślenia podniosłości nastroju, lub szczególnego respektu dla pewnych osobistości, lub uznania dla zasług trzeba koniecznie zasiąść do stołu biesiadnego w dużym gronie ludzi obcych i obojętnych, prowadzić rozmowy banalne i nieinteresujące, wysłuchiwać mniej lub więcej złych, przeładowanych komuflami i zawsze za długich przemówień, a wśród tego wszystkiego objadać się jakąś nieprawdopodobną ilością dań.

I dopiero w Paryżu znalazło się grono ludzi, którzy zadali sobie pytanie: komu to sprawa przyjemność (oprócz oczywiście restauratorów)? Odpowiedź była, jak grzmot: każdy, kto poznał na sobie udręk uroczystego zapewnienia żółądka, wrzasnął, że nie jemu. A bynajmniej nie ciszej od innych krzyknęli ci wszyscy, którym wypadło już być bankietów takich powodem i przedmiotem. I oni wołali, że przy każdej okazji byłoby woleli móc odroczyć i rozprężyć członki, lub ewentualnie zjeść drobniostkę jaką w małym gronie ludzi najbliższych, lub najlepiej znajomych, lub w danych okolicznościach najbardziej interesujących, aniżeli zasiadać do stołu w tłumie sziwym i obojętnym.

Zerwanie z nieobyczajem ma również to jeszcze znaczenie, że dopiero zaniechanie na dłużej formy uroczystości nada bankietom nieuniknionym, więc wyjątkowym, ten walor szczególny, jaki mieć powinny, jako manifestacje o specjalnym zupełnie charakterze.

Wreszcie sprawa ma i ekonomiczną swoją stronę, bo sumy, wydatkowane na bankiety, stanowią krocie, trwoniące zupełnie bezużytecznie. Niezmiernie charakterystycznym dla tej okoliczności jest rachunek, jaki niedawno temu mieliśmy w ręku: fundowano sztandar dla jednego z pułków; zebrano na to około 9,000 złotych; wydatkowano na sztandar około 2,000 zł., a na bankiet około 9,000 zł. — powstał deficyt około 3,000 zł.!!

Jeżeli we Francji pieniądze, wydatkowane na bankiety, stanowią jeden z głównych motywów powstania ligi przeciwbankietowej, to o ile bardziej motyw ten powinien być decydującym dla nas. Bo choć niewątpliwie jest u nas ilościowo mniej bankietów, aniżeli we Francji wogóle, a w Paryżu w szczególności — ale też mamy przecież o bardzo, bardzo wiele mniej pieniędzy do wyrzucania.

głędów i działalności innych ministrów, którzy pozostali w rządzie, to dlatego, że wypowiedzenia się ich w parlamencie nie pozwalają na podobne syntezy.

Zupełnie słuszne słowa uznania dla członków gabinetu wypowiedział ustępujący szef rządu. W oświadczeniu p. Marszałka Piłsudskiego z dnia 1. VIII. b. r. znajduje się ustęp, że praca ministrów jest ciężka, że małe pobory ich w żadnym razie nie odpowiadają tej ich pracy, której p. Marszałek nie wahał się nazwać „szaloną”. Największą przykrością dla ministrów są według p. Marszałka ich wystąpienia w parlamencie, gdyż wówczas zmuszeni są udawać nadzwyczajny szacunek dla izby sejmowej wobec posłów, rzucających obelgi i oszczerstwa w swoich interpelacjach i przemówieniach, zachowujących się, jak w szynku, słuchających mów ministrów w sposób najbardziej ubliżający powadze i porządkowi.

Są to warunki, które powiększają trudności sprawowania rządów w Polsce i zarazem mnożą zasługi ludzi, którzy rządy te sprawują ku pożytkowi Rzeczypospolitej.

Dr. Gustaw Dporzyński.

PRENUMERATA

za III kwartał nie została jeszcze przez wszystkich prenumeratów uiszczona. Prosimy o możliwie szybkie wpłacanie jej oraz ewent. zaległości. Przekazy P.K.O. zostały już rozesłane.

Z A G R A N I C A

Z ZA KULIS DYPLOMACJI

Historja paktu Kelloga

Zagraniczna prasa pacyfistyczna odsłania kulisy paktu Kelloga. Historja tego paktu jest tak fantastyczna, że odtwarzamy ją tutaj w głównych zarysach, posilkując się pracą b. ministra Rzeszy Dra Pawła Levi'ego p. t. „Vom Kellog-Pakt zum Kellog-Pakt”

Zaczął się w lipcu 1927 r. Francuski minister spraw zagranicznych, Briand, przesłał amerykańskiemu sekretarzowi stanu dla spraw zagranicznych, Kellogowi, projekt „wie czystego traktatu przyjaźni”, według którego oba te mocarstwa, t. j. Francja i Stany Zjednoczone miałyby „uroczyście w imieniu narodu francuskiego i narodu Stanów Zjednoczonych oświadczyć, że wojnę potępiają i odrzucają ją jako narzędzie polityczne w wzajemnych między sobą stosunkach”.

O przyczynach, które skłoniły Brianda do wysunięcia takiej propozycji, nigdzie niema mowy. Można się tylko domyślać, że chodziło tutaj o krok, obliczony na bardzo daleką metę, bo na wypadek konfliktu zbrojnego pomiędzy Anglią a Francją. O prawdopodobieństwie zatargu zbrojnego pomiędzy Francją a Stanami Zjednoczonymi na serjo mówić nie można — Francja przeto nie ryzykowała, proponując taki traktat — natomiast podpisanie go przez Stany Zjednoczone uniemożliwiłoby im wszelką interwencję na korzyść Anglii w razie konfliktu angielsko-francuskiego, który zawsze jest możliwy. Poza to taki traktat uroczyście „w imieniu narodów” jest zawsze pięknym gestem i stwarza „wartości moralne”. Odmowy ze strony Stanów Zjednoczonych nie spodziewano się. Ruch przeciwojenny jest w Ameryce zawsze bardzo żywy, a gdy w dodatku zbliżają się wybory Prezydenta Unji, nie było do pomyslenia, by jakkolwiek partja amerykańska odważyła się odrzucić tak moralną propozycję.

Do września 1927 nie wydarzyło się nic ważniejszego w tej sprawie. We wrześniu zaś odbyło się Zgromadzenie Ligi Narodów. Na tem zgromadzeniu Polska wystąpiła ze swoją znaną inicjatywą pokojową i spowodowała przyjęcie rezolucji potępiającej wojnę napastniczą. Rezolucji, zresztą platonicznej i mającej narazić tylko znaczenie moralne. To jednak znaczenie tej rezolucji jest bardzo duże, gdyż opowiedziały się za nią bardzo wyraźnie i bardzo gorliwie *wszystkie mniejsze państwa*. Poza to rezolucja ta ruszyła z miejsca sprawę propozycji Brianda i natchnęła Kelloga do podjęcia jej w zupełnie zmienionej formie.

Dnia 28 grudnia 1927 r. Kellog, nawiązując do propozycji Brianda, pisze do rządu francuskiego, że rozważając obopólne pragnienia Francji i Stanów Zjednoczonych odrzuca wojnę jako sposób regulowania wzajemnych zatargów, przyszło mu na myśl, iż oba rządy nie powinny ograniczyć się tylko do podpisania takiego traktatu między sobą, lecz powinny dążyć do tego, *by wszystkie wielkie mocarstwa przyłączyły się do tego paktu i tak że zobowiązały się unikać wojny jako środka do rozstrzygnięcia problemów polityki zagranicznej*. Za takim przykładem wielkich mocarstw poszłyby niewątpliwie wszystkie narody świata i w ten sposób Francja i Stany Zjednoczone przyczyniłyby się do urzeczywistnienia dzieła pokoju powszechnego.

Kellog okazał się równie bystrym dyplomatą jak Briand. Trafiła kosa na kamień. O izolowaniu Anglii przy takim wielostronnym pakcie mowy już być nie mogło. Prócz tego Kellog ugodził w słabą stronę francuskiej polityki zagranicznej, opartej na sojuszach, przez widujących pomoc militarną na wypadek wojny. Nie odrzucając pięknej inicjatywy Brianda, rozszerza ją jeszcze bardziej, występuje w roli apostoła pokoju powszechnego, pozbawia się kłopotu w stosunku do Anglii i z kolei daje Briandowi twardy orzech do zgryzania!

Francja odpowiada tym razem bardzo szybko, bo już 5 stycznia 1928. I odpowiada bardzo sprytnie. „Rząd Republiki francuskiej ocenia w pełni przychylnie przyjęcie przez rząd S. Z. propozycję p. Brianda i stwierdza, że zaproponowany przez p. Kelloga sposób postępowania jest w zgodzie z da-

żeniami Francji. Ze swej strony rząd francuski proponuje, aby — nie tracąc czasu — jaknajprędzej rozpocząć realizację tego wielkiego planu i w tym celu zacząć od podpisania paktu przez Francję i Stany Zjednoczone, gdyż samo to już zachęci inne mocarstwa do naśladowania tego przykładu...”

Czyli: Zgadząmy się na wszystko, gotowi jesteśmy wszystko zrobić dla pokoju powszechnego, podpiszcie tylko pakt, żeby ruch się zaczął...

I jeszcze jeden mały szczegółik znajdował się w odpowiedzi francuskiej. P. Briand zawiadania p. Kelloga, że gotów jest wspólnie z nim zwrócić się do wszystkich państw z propozycją podpisania takiego samego paktu, mocą którego państwa te zgodziłyby się zrezygnować raz na zawsze z wojny napastniczej, jako narzędzia polityki międzynarodowej.

Czyli: My sobie podpiszemy nasz pakt, że nigdy ze sobą żadnej wojny prowadzić nie będziemy, aby zachęcić świat do naśladowania naszego pokojowego przykładu, a równocześnie proponujemy wszystkim innym państwom, aby podpisały, że zrzekają się wojny napastniczej. Czyli: My między sobą nie prowadzimy żadnej wojny, a w stosunku do innych obowiązuujemy się tylko nie zaczynać wojny.

Kellog podejmuje rękawicę. Już 11 stycznia pisze do Brianda, że niezmiernie się cieszy, iż godzi się na zaproponowany przez niego wielostronny pakt, żałuje tylko bardzo, że niezupełnie dobrze rozumie ostatnie pismo Brianda. On mianowicie proponował, by wszystkie wielkie mocarstwa, a więc także Francja i Stany Zjednoczone podpisały ów pakt pokojowy *jednocześnie*, a p. Briand wspomina coś o tem, by najpierw podpisała go Francja i Stany Zjedn., co byłoby sprzeczne z intencjami rządu S. Z. Nie rozumie również wzmianki o wojnie zaczepnej, gdyż p. Briand pierwotnie mówił o wojnie wogóle *i bez żadnych wyjątków*. Zdaje mu się jednak, że to tylko drobne nieporozumienie i że p. Briand nie ma bynajmniej zamiaru zmieniać sensu swojej pierwszej propozycji.

Teraz już p. Briand musi być wyraźny. Odpowiada więc 21 stycznia 1928 r., wyjaśniając p. Kellogowi, że większość mocarstw zaciągnęła już pewne zobowiązanie do utrzymania pokoju, a mianowicie przez swoją przynależność do Ligi Narodów, bądź przez podpisanie traktatów lokarneńskich. Pakt Ligi Narodów i traktaty lokarneńskie stwarzają pewne zasady dla utrzymania pokoju, ale pozostawiają przytem każdemu państwu swob-

dę obrony swoich praw. W tym celu na wrześniowej sesji Ligi Narodów *potępiona została tylko wojna napastnicza*. W ten sposób stworzony został stan rzeczy, który musi być wzięty pod uwagę także przez Stany Zjednoczone, aczkolwiek one do Ligi Narodów nie należą.

Innymi słowy: P. Briand stwierdza, że o pakcie powszechnego pokoju mowy być nie może, ponieważ istnieje Liga Narodów i traktaty lokarneńskie, które nie pozwalają na zawarcie takiego paktu. Czyli: Liga Narodów i traktaty lokarneńskie bronią świat przed powszechnym pokojem. Tak przynajmniej wynika z wywodów p. Brianda. Bo gdyby nie Liga Narodów i nie traktaty lokarneńskie, propozycja Kelloga potępienia wojny przez wszystkie narody mogłaby być zrealizowana.

Dnia 27 lutego 1928 odpowiada Kellog na wyjaśnienia Brianda:

„*Pomiędzy dwustronnym a wielostronnym układem potępiającym wojnę w każdej jej postaci, mojem zdaniem, niema żadnej zasadniczej różnicy. Rząd, który gotów jest zawrzeć taki traktat z jedną stroną, może uczynić to także z każdą inną stroną. Nie można bowiem przypuszczać, by członek Ligi Narodów sam mógł czynić coś, czego nie wolno mu uczynić w gronie wszystkich członków Ligi*”.

Czyli: Jeżeli Francja oświadcza gotowość zawarcia ze Stanami Zjednoczonymi paktu, potępiającego wszelką wojnę i wyrzekającego się wojny po wszelkie czasy, pomimo, że jest członkiem Ligi Narodów i podpisała traktaty lokarneńskie, to zdaje mi się, że taki sam pakt mogłaby podpisać z każdym innym państwem i każde inne państwo : n.a., wespół z nią.

A dalej pisze Kellog:

„*Nie dopuszczam myśli, by Francja lub jakikolwiek inny członek Ligi Narodów zajął ostatecznie jakie stanowisko, że statut Ligi Narodów nie dopuszcza do wyrzeczenia się wojny i że potępienie i wyrzeczenie się wojny sprzeczne jest z duchem Ligi Narodów. Gdyby nawet pojęcie „napastnik” zostało zdefiniowane i określone zostały ściśle warunki, kiedy jakieś państwo uprawnione jest do prowadzenia wojny, to pakt pokojowy z takimi zastrzeżeniami straciłby prawie całkowicie swoje znaczenie jako gwarancja pokoju*”.

Nastąpiły rokowania za kulisami, poczem dnia 26 marca odpowiada p. Briand i wskazu-

Zbrojenia niemieckie

Przed kilkoma dniami pisma codzienne przyniosły wiadomość, że gabinet niemiecki jednogłośnie uchwalił rozpocząć budowę olbrzymiego pancernika wojennej klasy „A”. O rozmiarach, wyekwipowaniu i uzbrojeniu tego potwora morskiego pewne wyobrażenie daje cyfra kosztu jego budowy. Pochłonnie ta budowa skromną sumkę 80 milionów marek, czyli okragło 170 milionów złotych.

Budowa tego najnowszego pancernika sta nowi dalszy ciąg planu odbudowy marynarki wojennej, który Niemcy konsekwentnie przeprowadzają, znajdując zawsze jakiś sposób omijania postanowień traktatu wersalskiego, dotyczących tonażu ich floty wojennej.

Najbardziej charakterystycznym jest w tej sprawie to, że budowę tę uchwala gabinet socjalistyczny Müllera. Plan był już bowiem od dawna gotowy, ale poprzedni nacjonalistyczny gabinet nie miał jakoś odwagi przystąpić do jego urzeczywistnienia. Obawiał się, że sprawa narobi hałasu zagranicą i da asumpt do nowej kampanji przeciw nacjonalizmowi i militarystyce niemieckiemu. Gabinet socjalistyczny takich skrępowań nie ma. Jednego dnia p. kanclerz Müller palnie mowę pacyfistyczną i demokratyczną a socjaliści wszystkich krajów oklaskują go i przekonywują świat, że rząd socjalistyczny w Niemczech jest gwarancją pokoju i że niczego ze strony Niemiec obawiać się nie potrzeba: na drugi dzień gabinet Rzeszy pod przewodnictwem tegoż Müllera

uchwala budowę nowego pancernika za 80 milionów marek. Prasa socjalistyczna na całym świecie przechodzi nad tem do porządku dziennego i wstrzymuje się od wszelkich komentarzy, bo przecież nie można utrudniać rządowi tow. Müllera jego pokojowej działalności...

Zaiste, socjalizm niemiecki jest — dotychczas przynajmniej — najlepszym narzędziem niemieckiego imperjalizmu. Pod jego firmą i jego rękami imperjalizm niemiecki realizuje najważniejsze swoje postulaty i dzięki temu nietylko że nie ściąga na siebie podejrzeń i protestów, ale w dodatku korzysta niemal że z pomocy najbardziej tymi planami zagrożonych.

Dla nas zwłaszcza z tego faktu płynąć powinna przestroga: Zmiana rządu w Niemczech nietylko że nie zmniejszyła niebezpieczeństwa dla naszej zachodniej granicy, lecz jeszcze je powiększyła. Socjalistyczny rząd niemiecki o wiele skuteczniej i gorliwiej będzie mógł prowadzić kampanję przeciwko dzisiejszej granicy polsko - niemieckiej, niż jakikolwiek inny rząd niemiecki, albowiem nawet w naszym społeczeństwie znajdzie zawsze przychylnych sobie orędowników, którzy jego politykę przedstawiać będą jako pacyfizm najczystszej wody.

Zaznacza się to już w sprawie litewskiej, o której piszemy na innym miejscu.

B. Z.

je na to, że w razie przyjęcia propozycji Kelloga traktat potępiający wszelką wojnę musiałby być *równocześnie podpisany przez wszystkie państwa*, gdyż inaczej jedno państwo miałyby związane ręce, a drugie nie, wskazuje także na to, że konferencji panamerykańskiej także się nie udało zawrzeć takiego traktatu pomiędzy państwami amerykańskimi i także musiano ograniczyć się tylko do wyrzeczenia się wojny napastniczej. Rząd francuski gotów jest jednak uczynić wszystko, aby traktat taki doszedł do skutku przy najmniejszych ograniczeniach. Przyjmuje przeto propozycję amerykańską, by podpisały go przedewszystkiem tylko państwa zaproszone, przyczem pozostałe państwa mogłyby starać się o włączenie ich do paktu. Pakt obowiązywałby państwa podpisujące tylko wtedy, *jeśli podpiszą go wszystkie inne państwa, które mogłyby popaść w konflikt z któremkolwiek państwem już podpisanem*. Państwo podpisujące zwolnione będzie z wszelkich zobowiązań, jeśli jakikolwiek drugie państwo podpisane zobowiąza swoje ziemię. Pakt wreszcie nie może odbierać prawa do samoobrony w razie ataku.

Znaczący to: 1) Prawa Francji, wynikające z Locarna i traktatu wersalskiego pozostają nienaruszone. 2) Pakt obowiązywać będzie dopiero wtedy, gdy podpiszą go wszystkie państwa, pomiędzy którymi mogłyby wyknąć spory, 3) każdy partner otrzymuje swobodę działania, jeżeli jeden z podpisanych zlamie postanowienia traktatu, 4) Prawo obrony przed atakiem pozostaje nienaruszone.

A wszystko razem ani na krok nie przybliża ideału wiecznego pokoju.

W międzyczasie w dyskusji zabrała głos także Anglia, domagając się bliższego określenia terminu „obrona własna”, a mianowicie zażądała, aby za obronę własną, uznano także obronę przed atakiem na obszary, nad którymi sprawuje mandat lub opiekę. T. zn., że Anglia ma prawo uważać za atak na siebie każde wystąpienie przeciw któremukolwiek ze woich dominjów i przeciw swoim kolonjom.

W Paryżu nastąpi 27 sierpnia uroczyste podpisanie paktu Kelloga, „potępiającego” wojnę. Jakże dalekim jest ten dzisiejszy pakt Kelloga od pierwotnego paktu Kelloga. Nie wnosi on nic nowego do sprawy pokoju i w niczem nie ogranicza swobody wypowiedzania i prowadzenia wojny. Przedewszystkiem dlatego, że narazić wogóle nie obowiązują, ponieważ nie podpisują go wszystkie państwa, które mogą popaść między sobą w konflikt. Pomiędzy Polską np. a Rosją możliwość konfliktu jest zupełnie prawdopodobna. Ponieważ zaś Rosja do podpisania paktu nie została zaproszona, pakt ten samem nie ma mocy bezwzględnie obowiązującej. Rosja mogłaby wprowadzić pakt podpisawszy bez specjalnego zaproszenia, nie uczyni tego jednak, gdyż żąda, aby w tym celu otrzymała oficjalne zaproszenie Stanów Zjednoczonych, które rządu rosyjskiego nie uznają i zaproszenia takiego wyśtosować nie mogą.

Zabawa dyplomatów...

Złapał kozak tatarzyna — a tatarzyn za łeb trzyma...

P. Briand zapragnął wykorzystać pacyfistyczne nastroje społeczeństwa amerykańskiego i okres przedwyborczy w Ameryce, aby zdobyć dokument zabezpieczający Francję raz na zawsze przed interwencją amerykańską na rzecz Anglii w razie konfliktu anglo-francuskiego. Trafił na sprytniejszego od siebie Kelloga, który przy tej okazji chciał powiedzieć parę złośliwości pod adresem Ligi Narodów i europejskiej perfidji pokojowej.

W końcu obaj spojrzegli, że zaszli zbyt daleko i że trzeba się z honorem wycofać z imprezy. I tak powstał pakt, który z wielką pompą będzie podpisany.

Ile to przytem będzie toastów na cześć pokoju i zbratania narodów!...

Bogusław Zabłocki.

Z WENECCJI I O WENECCJI

I. Stara Wenecja

Ciekawe miasto, więcej niż ciekawe, bo godne podziwienia dziś, jak było przed tysiącem lat. Wygląda jakby z morza wyrósł, a jednak te wszystkie cuda architektury i sztuki wogóle, jakie podziwiamy w Wenecji, stworzyła wytrwała praca ludzka.

Szeroką dziedzinę sztuki pozostawiam specjalistom, a o Wenecji i z Wenecji pragnę kilka słów powiedzieć o tem, o czym u nas nigdy się nie mówi: o ludziach i życiu ludzi w starej i nowej Wenecji.

Wenecja, to nie tylko ta grupa budynków, która się zaczyna od Santa Maria della Salute, okrąży Piazzette i Plac św. Marka, ciągnie się przez Riva Schiavoni do Giardini Publici, Fondamente Nuove, Arsenalu, półkołem zbliża się do Ferrovii, a kończy się wielkim portem — to cały kompleks wysp i wysepek, utworzonych przez wieki z jednej strony ujściem wód Tagliamento i Piave, a z drugiej falami Adriatyku.

Skąd powstała nazwa miasta, tak dziwnie po słowiańsku brzmiąca, przypominająca liczy naród Wenedów, których pokrewni potomkowie i dziś jeszcze zamieszkują w nowonabytych włoskich prowincjach, w Karyntji, Sławonii, sięgają Triestu (Trst), a ślady swoje pozostawili w takich miastach jak Grado, które się zitalianizować nie dało.

Cała przestrzeń wybrzeży Adriatyku, skoro jeszcze dziś posiada niemało żywołów słowiańskich, posiada ich musiała w początkach ery chrześcijańskiej o wiele więcej. Usadówienie się Węgrów w 9-tym wieku w dawnej Pannonii przerwało dopływ fal słowiańskich z północy na południe, skazując szczyty, najbliższe północnego Adriatyku położone, na powolne wynarodowienie się. W 4-tym wieku po Chr. kultura rzymska mimo klęsk państwowych już wchłaniać ich poczęła, mimo to całe północne nadbrzeże Adriatyku prawie do ujścia Padu nosiła nazwę prowincji Wenecji. Ludność słowiańska traciła powoli swoje cechy narodowe pod wpływem obecnej państwowości. Włosi niechętnie przyznają się do słowiańskiego pochodzenia nazwy prowincji, lecz głucho utrzymują, że ludność zamieszkująca ją, przybyła z Azji i zachowała strój własny, jakieś płaszczki na podobieństwo togi-burki, budyń, zarzutki i t. p. i stąd nawet nazywano tę prowincję „Gallia togata”.

Od 5-go wieku rozpoczęły się najazdy na Italję: Wandalów, Hunnów, Herutów, Ostrogotów. Najsilniejsza fala uderzyła oczywiście na ludność nadbrzeżną, na najbogatsze miasta — *Akwileję, Altium, Herakleję* i in. Jeszcze dzisiejszej Wenecji nie było, kiedy istniały zaludnione wyspy Murano, Burano, Lido, Mezambro, a najbogatsza z nich, przytulisko arystokracji kupieckiej, Torcello, była portem Altium tak samo jak Treponti i San Erasmo, Malamoco i dzisiejsza Chioggia

(Fossa Clodia) były portami bogatej Padwy.

Grupa wysepek, utworzona ujściem Tagliamento i Piave, była prawie niezaludniona. Znano tylko nazwiska: Caprulo (kozia wyspa), Riva alto, Olviolo, Luprio (może „Wilczy Ostrów?”), Dorsoduro i wiele innych. Pały się tam kozy nadbrzeżnych mieszkańców i ich bydło, a pasterze mieli tam przytuliska dla siebie i swoich łodzi. Z miast nadbrzeżnych przyjeżdżano tu na polowania na ptaki wodne.

Pod naciskiem barbarzyńców ludność uciekała na puste wysepki, gdzie poczęto powoli trudnić się hodowlą bydła, uprawą jarzyn, zakładaniem winni. Ponieważ oddalenie wysepek od siebie nie było wielkie, dla ułatwienia komunikacji i dla zaspokojenia następczących się wspólnych potrzeb, poczęto regulować kanały, tworzyć nadbrzeża i łączyć wyspy mostami. Ludność różnych ras poczęła się zlewać ze sobą, tworząc z czasem własny typ, nie bez przymieszki wschodniej.

Prawie półtora wieku trwała ta ciężka praca jednoczenia się. Bliskość morza rozwinęła wśród ludności nie tylko handel solą i rybami, ale także zamyłowanie do żeglarstwa i dalszego handlu. Zwiększała się flota nowej osady, a z nią zamożność ludności. W sto lat prawie po najęździe Attyli, Cassiodora, ministra króla greckiego, Teodoryka, nazywał Wenecję „wspaniałą”, pełną szlachetnych i możnych ludzi, bogatą w niezliczone ilości okrętów. Chodziło wówczas o przewiezienie zapasów żywności z Istrii do Ravenny.

Różne rasy, zamieszkujące te wyspy, wśród których przeważały słowiańska i grecka, pod wpływem rzymskiej kultury państwowej, zlewały się powoli w tę odrębną i charakterystyczną całość, jaka się złożyła na wybitne cechy etniczne weneckiego społeczeństwa. Zależna z początku od Padwy, powoli zdobywała niezależność i własny rząd. Wzbogacanie się Wenecji postępowało tak szybko, że już na początku 15-go wieku podróżnicy zaliczali ją do najpiękniejszych i najbogatszych miast Italji. Cały nieomal handel bliskiego Wschodu skupiał się w Wenecji, która stała się niejako pośrednikiem między wschodem a północą. Nie gardzono nawet handlem niewolnikami, a jeden z podróżnych powiada, że miasto przepełnione było tatarami, murzynami i słowianami. Handlowano ludźmi tak samo jak pieprzem i imbiem.

Dla ułatwienia pieszej komunikacji przez najszerszy kanał (Canale Grande), który później stał się najpiękniejszą drogą wodną Wenecji, przerzucono most drewniany, a gdy pod naciskiem tłumu, który się tu gromadził dla przyglądania się orszakowi weselnemu jakiegoś księżątka włoskiego, most ten runął do wody, wkrótce zbudowano nowy most z kamienia, trwający dotychczas (Rialto).

Piętnasty wiek można uważać prawie za

szczyt rozwoju handlu i bogactwa. Posiadała już wówczas Wenecja około 200 tysięcy ludności, marynarka jej liczyła 3 tysiące okrętów z 17 tysiącami obsługi, 300 z osmiu tysiącami i 45 galer z jedenastu tysiącami majtków. Trzy tysiące robotników pracowało w warsztatach morskich. Roczny wywóz towarów do różnych części świata wynosił 10 milionów dukatów, a zysk czysty mieszkańców sięgał dwóch milionów. Środowiskiem handlu stała się okolica Rialto, gdzie były olbrzymie składy towarów, banki, kantory, biura handlowe. Życie nabrało charakteru ogólnej zamożności. Jakkolwiek Portugalia, Hiszpania, Holandia i Anglja zaczynały już współzawodniczyć, ale długo jeszcze to współzawodnictwo nie dało się odczuć.

Wenecja miała niektóre gałęzie przemysłu tak wyspecjalizowane, że nikt jej w nich dorównać nie mógł, a przetrwały one aż do naszych czasów. Dość przypomnieć przepiękne wyroby szklane i lustrzane na Murano, poszukiwane i podziwiane dotychczas w całym świecie, a których początek sięga 12-go wieku. Niesłychanym powodzeniem cieszyły się wyroby skórzane ze złociem wyciskaniem (cuoridora), które dziś jeszcze stanowią specjalność wenecką. W piętnastym wieku 70 sklepów prowadziło ten handel. Od najwcześniejszych czasów słynęła Wenecja z wyrobu koronek, jako najdroższej wówczas ozdoby sukni męskiej i żeńskiej. Każda kobieta wenecka jest koronkarka, a istniejąca dzisiaj szkoła koronkarska na Burano zaopatruje najbogatsze magazyny pod arkadami Prokuratorji. Najpiękniejszych i najkosztowniejszych koronek dostarcza klaszory żeńskie. Na ulicach wyspy Burano dziś jeszcze można spotkać gęsto siedzące pod arkadami kobiety, wyrabiające koronki klocek.

Od tysiąca lat przeszło Wenecja, zetknąwszy się z Wschodem, przyswoiła sobie najpiękniejsze wzory architektury, którym nadała tyle fantazji, że piękno Wschodu ubrała w własne szaty, łącząc jego przepych ze spokojem i harmonją artystyczną. Dość przypomnieć Palazzo Ducale, Chiesa di San Marco, Giovanni e Paolo, Cadore i w. in. Nawet gondola wenecka posiada swoje piękno, zharmonizowane z otoczeniem. Słynne wyroby złotnicze Wenecji, inkrustacje mozaikowe w złocie i srebrze, dziś jeszcze smakiem artystycznym, formą, przypominającą motywy *Kaukazu lub Turkiestanu*, wzbudzają zachwyt najwybredniejszych.

Z bogactwem i wzrostem zamożności mieszkańców rościło zamyłowanie do piękna. Gdzie stępnęła stopa władzy weneckiej, tam szło za nią jak cień, piękno. Całe wybrzeże Adriatyckie od Splitu do Dubrownika, nosi po dzisiejszy dzień ślady duszy weneckiej. Fortyfikacje, klasztory, kościoły, gmachy publiczne, zdają się odbijać echo weneckiego stylu. Od ozdób mozaiki greckiej św. Marka, do półokrągłych łuków, przypominających maury-

Americana

Autentyczne publikacje w prasie amerykańskiej

Pogańskie powietrze.

Organizacja kobiet amerykańskich p. n. „The Loyal legion of american mothers” publikuje następującą odezwę:

„Szanowny Panie (Pan), czy pan wie, że w naszej Ameryce jest 2,181,818 słuchaczy radja i że słuchacze ci otrzymali drogą powietrzną 239.075 audycyj radijofonicznych?”

Jako lojalny amerykańczyk, żyjący w zgodzie z prawem, musi pan postawić sobie pytanie, ile też z pośród tych audycyj miało charakter religijny. Odpowiedź brzmi: tylko 383! Tylko 0.0016 procent!

Powietrze jest przeto prawie całkowicie pogańskie!

Nasza organizacja wzięła sobie za cel walkę z tym niepokojącym stanem rzeczy i zwracamy się do pana z prośbą o pomoc. Nawet najskromniejszy czek, przysłany nam stanowić będzie cios, wymierzony przeciw po-gańskiemu powietrzu.

Niechaj nam Pan pomoże w tej walce! Niechaj Pan chroni swój dom, swoich bliskich i swoje radjo przed djabłami, hulającymi w powietrzu!

Szczyt moralności.

„Salt Lake Tribune” zamieszcza list do redakcji treści następującej:

„Przed kilkoma dniami widziałem jak w pewnym oknie wystawowym domu towarowego jakiś mężczyzna ubierał lalkę, przedstawiającą młodą kobietę. Byłem oburzony, gdyż ów mężczyzna ubierał lalce pończochy, przyczem lalka była prawie rozebrana. Przy puszczeniu, że takie rzeczy często się nie zdarzają i że w tem, co robił ów mężczyzna, nie ma nic zdrożnego ani obrażającego uczucia moralności, jednak zdaje mi się, że taka rzecz może łatwo wywrzeć ujemny wpływ na niejednego młodego mężczyznę, mimowolnego świadka takiej sceny. Proponuję przeto, by dyrektorzy, którzy ubierają wystawy, zwłaszcza w domach towarowych z artykułami damskimi, pełnili swoje czynności przy zasłoniętych szybach wystawowych.

Trzydziestoletni czytelnik.”

tańskie budowle, wszystko tam przypomina wenecką kulturę.

Jak powoli urastała Wenecja w czarujące miasto, jedyne na świecie, pracą i mądrością swojej ludności, tak powoli wpływ jej sięgał aż ku dalekiej północy, a słabe echa odbijały się i w naszym życiu kulturalnym.

Już na początku szesnastego wieku formy Wenecji przybrała bogate urozmaicenie życia i, jak wino musujące, wylewało się poza brzo-gi puhanu, igrając blaskiem światła i przepychu.

R. G.

W „sercu upadającego państwa”

Wiedeń, w sierpniu.

Zamarły już echa mów „anschlussowych” i pieśni Schubertowskich, śpiewanych przez wielką armję „Ren—Dunaj”.

Jednocześnie osłabła kanikała i wróciła trzeźwość umysłu. Potwierdziło się to, co mógł przeniknąć każdy, umiający się orientować w harmidrze prasy brukowej, że Wiedeń jest przedewszystkiem szczęśliwy z ogromnego napływu szylingów, a jak wielu rasowych austriaków zapewnia — i z odjazdu „Pifke’ów, to znaczy Niemców z Reichu. Do tej ostatniej radości niemało pewnie przyczynia się fakt, że znaleźli się tacy, co się na swych piędziennych obliczeniach srodze zawiedli. Są to jaddodawcy z pawilonów, które otaczają gigantyczną Saengerhalle. Cóż bowiem okazało się? Ze wszyscy śpiewacy z nad Łaby, Renu, Mozy i t. d. przywieźli z swych ojczystych pieleszy... gotowe obiady i śniadania i wszelkie posiłki stałe i płynne, biednym zaś restauratorom, kielbaśnikom i piwiarom zostało tylko... „Deutschland, Deutschland über Alles”. Nie zarobili ani grosza, owszem wpadli w deficyt i są poprostu splajtowani. Stąd skargi i żale i podobno wytoczone miastu procesy.

Inną pozycją tego bilansu jest rewizja wygłoszonych oracyj. Gdy je teraz, po przejściu „Rauschu”, przepuszczono przez filtr, okazało się, że została czysta woda. Żadna z wielkich mów odpowiedzialnych mężów stanu, nie zawierała nic pozytywnie obowiązującego, nic, na czemby wolno budować jakieś kassandrowe przepowiednie. Trochę piany na rozfalowanym morzu — i nie wiele więcej. Tak dalece, że różni ludzie wytrawniejsi za-

pytują, czy to mądrze ze strony prasy francuskiej, że zrobiła taki wielki alarm, czy jest politycznym manifestować tak wielki strach i czy nie jest pomocą dla propagandy wszech-niemieckiej brać tak bardzo na serjo polityczne intermezja w festiwalu chórow?

Nie chcę jednak być „za mądrym” i z lekkiem sercem sprowadzać do zera te wszystkie wybuchy zapału. Powinno się przyjąć za zasadę a priori, że „ogień słomiany” jest wylączną własnością naszą i w społeczeństwach innych, szczególnie niemieckich, ogień bywa trwalszy i mniej niewinny. Zdarzyło mi się rozmawiać w tych dniach z jednym z redaktorów kilku pism wiedeńskich, a zarazem wybitnym krytykiem, p. Konta. Jest to przyjaciel Polaków i nikt mu szowinizmu, ani tembardziej hakatyzmu zarzucić nie może, a przecież idea „Anschlussu” rozpala jeszcze więcej jego i tak gorące i płomienne oczy. A na czyjeś zapytanie, czy Austria nie obawia się, że ja Niemcy w razie połączenia półkna, i strawią — odpowiedział:

— Niemcy nie posiadają tak strawnego żółdka, jak się panom wydaje!

Nie sympatja więc i nie uczucie rasowego pokrewieństwa przemawia przez takich publicystów — bo jest ich napewno więcej na gruncie wiedeńskim — lecz poczucie politycznej jakoby nieodporności.

Słusznie czy niesłusznie — zostawmy tę kwestję interesowanym do ostatecznego rozstrzygnięcia, ale ja zarejestruję. Chcę przez to rzec: Polacy, zamieszkali w Wiedniu, ta armja czterdziestotysięczna, może być widzem procesu i fermentu, które są równie doniosłe jak ciekawe.

Trzeba się wyrzec dwóch kłamstw i powiedzieć sobie:

I. Austria nie jest państwem, na które się patrzy przez szklą pytania: Czy już pachnie trupem, czy nie? Ta olbrzymia kultura, którą się tutaj dookoła widzi, ten cudowny geniusz organizacji, którym przenikniony jest Wiedeń, ta wieczne złotoznana żyła tradycji muzycznej, teatralnej, uniwersyteckiej, alpejsko-sportowej, ten wysoki poziom cywilizacyjny w zwyczajach i życiu domowym, to nie są przemijające, łatwe do zniszczenia wartości.

Prawda, jest drogo. Trzeba płacić za to, że się nie miało ochoty do walki. Przesadna smukłość figur oficerskich, przepych mundurów feldmarszałków, obwieszonych gwiazdami i wszelkich innych oficerów, lśniących złotem i szamerowaniem, bezlitośnie obnażyły w wielkiej wojnie cały swój pseudo-militaryzm, pseudo-dyscyplinę i wszystkie inne „niby”. Ale zato umiano z tych krwawych nierządów, częściej jednak bezkrwawych rozczarowań na polach bitew, wyciągnąć naukę. Rządzą teraz i dobrze rządzą cywile, czasami nawet arcy-cywile. A Wiedeń poszedł po linii adoracji dla dobrego, mądrego burmistrza, niemniej, niż po linii czci dla ostatniego Habsburga. Gdy patrzemy teraz na to miasto, nawskroś cywile, republikańskie, komunalne — rozumiemy doskonale, że nawet ubóstwiany patriarcha monarchizmu, Franciszek Józef I. mógł zazdrościć Drowi Luegerowi, wielkiemu gospodarzowi stolicy, objawów ulicznej popularności.

I jeszcze jedno jest prawda: Kawa jest znacznie gorsza. Pianka na niej pokrywa swym rzadkim tytułem zawartość filizanki — zresztą żałośnie niewielką, bo właściwie w tym kilogramie porcelany jest tylko trochę niewyraźnej ciekłej iluzji. I zupki w restauracjach są coraz cięsze i frytury na patelni

coraz więcej — ale siedzi się na werandach kawiarni, na Ringach, coraz przyjemniej, a pieczywo, jedna z dawnych chlub Wiednia, zachowało swą lekkość chrupanego walca. Słowem zostało wiele dawnych poeń i powabów a Ringi, opasające śródmieście są nawet coraz piękniejsze, pałace państwowe coraz więcej monumentalne, plac Karola i Szwarcenberga wydają się jeszcze rozleglejszymi, a nimfa splakana u stóp marmurowego Brahmusa coraz silniej chwytła za serce.

Dobrze świadczy o wielkim mieście, gdy się w niem napotyka rzeczy, w których niewiadomo co najpierw podziwiać. Kiedym był na przedstawieniu „Cudu Heliany”, — opery głośnego Korngolda — nie wiedziałem właśnie czemu przyznać palmę pierwszeństwa: czy boskiej orkiestrze, czy śpiewakom, czy reżyserji, która do absolutnej niemal harmonji doprowadziła fale muzyki z falami ruchów tłumów na scenie, czy wreszcie publiczności, która wypełniała teatr.

(Tu dwa małe nawiasy: nie podziwiałem Jana Kiepury, który, zmuszony stałe trzymać swój śliczny głos na wysokości wieży Świętego Szczepana, zdzierał go i pozbawiał z konieczności blasku. A powtóre: czy ta Heljana w librecie galicjanina nie łączy się czasem z Heljaną Juljusza Słowackiego?)

I pojąć można było po tem, gdy opera wiedeńska dawała gościnnie przedstawienia w Paryżu, całą soczystość cennego feljetonu w „Tempsie” czy „Figarze literackim”, w którym autor przyznawał, że po „Fideliu”, jakiego usłyszał tym razem — przyszedł do przekonania, że Paryż „Fideliu” nie znał, chociaż go tyle razy wystawiał i chociaż kult Beethovena nad Sekwaną jest bodaj większy jeszcze niż na Kärtnerstasse.

Tam, gdzie są takie niewzruszone fundamenta kultury, tam gdzie z potopu klęski po-

Nowy rodzaj komunikacji pocztowej pomiędzy Europą a Ameryką

W ubiegłym tygodniu otwarta została pomiędzy Francją a Stanami Zjednoczonymi nowa komunikacja pocztowa o transporcie kombinowanym: wodnym i powietrznym. Statki pocztowe pomiędzy Francją a Stanami Zjednoczonymi i w kierunku odwrotnym wieść będą na swoim pokładzie hydroplan, zdolny pomieścić na pokładzie kilkadziesiąt kilogramów poczty listowej. Gdy parowiec będzie o dwa dni drogi od portu amerykańskiego, względnie europejskiego, hydroplan spuszczone zostanie na wodę, uniesie się w powietrze i polecą do portu.

Sposób ten skróci znakomicie drogę, jaką dotychczas muszą odbywać listy pomiędzy Europą i Ameryką. Zastosowany został po doświadczeniach, jakie zdobyto w czasie przelotów nad oceanem. Okazało się bowiem, że przelot około tysiąca kilometrów nad oceanem nie przedstawia dla hydroplanu żadnych poważniejszych trudności. Wymaga bowiem od czterech do sześciu godzin lotu. Na taki lot wystarczy zapas benzyny, który samolot pomieścić może w normalnych zbiornikach i nie potrzeba urządzać specjalnych dodatkowych zbiorników, które w samolotach przeznaczonych do dalszych przelotów nad oceanem, zajmują miejsce przeznaczone na pomieszczenie ładunku użytkowego.

Nośność samolotu może być przeto w takiej przestrzeni całkowicie wyzyskana. Ponadto sześć godzin lotu nie przedstawia prawie żadnego ryzyka ze względu na możliwość zepsucia się motoru. W budowie motorów lotniczych doszliśmy już do tego, że na ogół bez ryzyka można przyjmować, że w czasie 10 do 15-godzinnego lotu silnik nie zawiedzie. Gdy więc lot ma trwać maksymalnie 6 godzin, przy jako tako utrzymanym i sprawdzanym silniku gwarancja jest prawie, że potrójna.

Jeżeli pierwsze próby — pierwsza próba powiodła się znakomicie — dadzą zadawalniające rezultaty, to nastąpi dalsze skrócenie drogi pocztowej przez zastosowanie komunikacji powietrznej także od strony lądu, od którego okręt odpłynął. Jeżeli np. okręt pocztowy odpłynął w poniedziałek z portu europejskiego, a następny odpływa dopiero we czwartek, to listy, które do portu nadejdą do środy południa będą wysyłane hydroplanem za okrętem pośredniakiem. Hydroplan opadnie na morze obok płynącego okrętu, który — nie zatrzymując się — przyjmie ładunek poczty, poczem hydroplan z powrotem odleci do swego portu. O dwa dni drogi przed portem amerykańskim pocztą idzie znowu na hydroplan, znajdujący się na pokładzie statku, i drogą powietrzną przed przybyciem okrętu dostaje się do portu. Jeżeli przeto okręt pocztowy potrzebuje na

przebycie drogi z portu europejskiego do amerykańskiego 8 dni, to pocztą, ekspedjowaną taką sztafetą kombinowaną, będzie na miejscu przeznaczenia o cztery dni wcześniej.

Oczywiście, że ta wodno-powietrzna sztafeta pocztowa funkcjonować będzie sprawnie od początku do końca tylko przy sprzyjającej lub względnie znośnej pogodzie. W czasie większych burz lub gwałtownych wicher, hydroplany nie będą mogły startować. Ponieważ jednak chodzić tu będzie, jak wspomnieliśmy, zaledwie o sześć godzin lotu, względnie o dwanaście, przy dopędzaniu okrętu (droga powrotna), spodziewać się należy, że sztafeta ta będzie funkcjonowała przynajmniej z 50-procentową sprawnością. Jeden hydroplan prawie zawsze będzie mógł być uruchomiony, gdyż dzisiaj lotnictwo pokonywać już przy krótszych lotach nawet bardzo silne przeszkody atmosferyczne.

Z biegiem czasu system ten ma być zastosowany także do przyspieszonego transportu podróźnych. W tym celu okręty pasażerskie wozić będą na pokładzie po dwa i więcej hydroplanów pasażerskich, na których pasażerowie, którym zależy na czasie, będą mogli o dwa dni wcześniej stanąć u celu swej podróży.

Jest to bowiem w nieco zmienionej postaci system wysp sztucznych na oceanie, okręty bowiem spełniają rolę takich wysp i stanowią oparcie dla samolotów. Jeżeli w dodatku uda się technice okrętowej wspólnie z lotniczą rozwiązać w praktyczniejszy niż dotychczas sposób problem lądowania samolotu bezpośrednio na pokładzie statku i startowania z pokładu, nastąpi dalsze skrócenie drogi wodnej przez ocean, bowiem wówczas warunki atmosferyczne odgrywać będą jeszcze mniejszą rolę, samolot bowiem nie będzie musiał lądować na wzburzonym morzu, a ponadto do tej sztafetowej służby użyte będą mogły być samoloty lądowe, znacznie lżejsze i szybsze od płatowców wodnych.

sh.

Co zrobicieś dla rozpowszechnienia „PRAWDY”?

Podaj nam adres znajomego, który mógłby stać się czytelnikiem.

litycznej wynurzają się takie wysokie artystyczne wysiłki, jak n. p. w odrodzonym Solnogradzie (Salzburgu) — można się nie obawiać, że państwo jest tylko uciekającą symfonią Haydna lub niedokończoną symfonią Schuberta.

II A teraz sprostuję drugie kłamstwo: Kolonia polska w Wiedniu nie jest taką sobie mniejszością, którą można w Warszawie bagatelizować, lecz jest olbrzymią masą, którą trzeba zorganizować. W dwumiljonej stolicy, ku której zwracają się coraz częściej oczy Niemiec, Polonia ma coś do widzenia i pewną misję do spełnienia — misję reprezentowania swojej ojczyzny, jako kraju dążeń i siły duchowej. Wiedeń, to pyszna czatownia, z której ogląda się świat i na której można pokazać swoją wartość. Jak dotąd, ci co mogą coś zdziałać, starają się udowodnić jej bezwartość. Gdy się jest gościem czy obywatelem Austrii, która bardzo rozumnie opiera swą przyszłość na najlepszych swoich skłonnościach kulturalnych i zaletach społecznych — można się od niej wiele nauczyć, a nade wszystko nauczyć się stawać godnie do konkursów cywilizacyjnych ambicji. Polski tu nie propaguje nikt. Małenkie przygodne frazki swojsko-dyplomatyczne i smokingi na manifestacjach lub uroczystościach polskich tyle samo znaczą dla rozszerzenia idei polskiej, co nic. Znacznie więcej czynią nasze swinie i wieprze, albowiem dowóz ich należy oświetlać żywotność gospodarczą Polski, a mięso ich bardzo Austriakom smakuje.

Wiedniowi potrzebny jest Polski Dom, któryby był widocznym znakiem i środkiem skupienia niezliczonych rzesz i robotników i mieszczanstwa. Historia tego domu, który jest i którego niema, jest całkiem fantastyczna i łączy się nawet z nazwiskiem głośnego oberprawy Beli Khuna. Bo kiedy zaczął on krzawić na Węgrzech kult krwawej bestialno-

ści, opiekunowie fundacji Ziemiańskich, zlekli się, że nadchodzi koniec świata także i w Wiedniu, i oddali Dom krakowskiej Akademii Umiejętności, której on miał przypaść w razie zniknięcia z powierzchni ziemi czterdziestu tysięcy Polaków w Wiedniu. Ale koniec świata nie nadszedł, ziemia się nie rozwarła i nie pochłonęła Polonji, więc trzeba windykować Dom na jej rzecz. Sprawa niełatwa i musi jej przyjść z pomocą ktoś mocniejszy od kilku prywatnych osób, które tutaj z zupełnym zaparciem się siebie, całą swą dobrą wolę jej poświęcają. Musi wejrzeć ktoś, co ma i głowę na karku, żeby ocenić całą doniosłość tej kwestji i ktoś, posiadający ten cenzus patriotyzmu, żeby mógł ogarnąć stale niebezpieczeństwo odpadania mnóstwa obywateli polskich od macierzy.

Nie myślę podawać ani nazwisk tych, którzy z obojętnością Piłatów patrzają na to zmaganie się, ani tembardziej tych, którzy właśnie ten patriotyzm w sobie znaleźli. Nie idzie o rozgłos pochlebny dla jednych, a napiętnowanie drugich — lecz o coś ważniejszego: o przecięcie tego stanu rzeczy, fatalnego i niedopuszczalnego. A także o to, żeby błagania o jeszcze jednego nauczyciela dla szkół polskich nie były głosem wołającego na puszczy.

Tutaj mały komentarz: Szkół polskich było sześć, teraz są tylko dwie, a dzieci jest przeszło dwa tysiące. Ogromnie komicznie wygląda ta dbałość Macierzy — czytaj „sfer miarodajnych” — o owe niezliczone gromady rodaków, zmuszonych żyć wśród obcych.

Tam dookoła wysepki polskich — idea „Anschlusu”, tu idea separatyzmu i niszczenia naturalnych związków. Tam sen o potęgę, tu marzenie o słabości.

Bywają bowiem wśród nas i takie sny... I bywają takie kontrasty...

Cez. Jęllenta.

O locie ptaków i ludzi

Przez wiele stuleci wierzono, że wznesienie się człowieka w powietrze jest albo zupełnie niemożliwe, albo też wykonalne będzie tylko wtedy, gdy człowiek potrafi uczynić się nieskończenie lżejszym niż jego ciężar naturalny. Rzeczywistość okazała się inną, niż przypuszczenia ludzkie. Zrozumiano bowiem z biegiem czasu, że unoszenie się w powietrze nie jest kwestją ciężaru lecz przede wszystkim kwestją siły. Ciężary, jakie dźwigać może dzisiejszy samolot, przemawiają bardzo wyraźnie, że problem latania, to przede wszystkim problem siły.

Właściwie to już zwykła obserwacja lotu ptaków i owadów powinna była doprowadzić do tego zrozumienia, powinna była wykazać, że tajemnicę lotu stanowi siła. Albowiem, zanim jeszcze przy pomocy zwolnionych zdjęć kinematograficznych poznano do najdrobniejszych szczegółów ruchy skrzydeł i korpusu ptaka oraz kolejność, w jakiej ruchy te po sobie następują, wiadano już, że ilość uderzeń skrzydeł w każdej sekundzie jest bardzo duża. Dźwięk, jaki wydają będące w ruchu skrzydła owadu, pozwala podług wysokości tonu obliczyć ilość uderzeń skrzydeł na sekundę. Na tej drodze wyliczono, że zwykła mucha w czasie lotu uderza skrzydełkami 350 razy na sekundę, pszczoła 440 razy. Na innej drodze, przez liczenie ruchów skrzydeł trzymanego w ręce owadu (odbywa się to w ten sposób, że skrzydełko owadu, poruszając się, dotykają lekko powierzchni walca szybko się obracającego, powleczonego sadzą i znaczą na niej ślady, które się następnie liczy), stwierdzono, że pszczoła wykonuje swemi skrzydełkami 190 ruchów na sekundę, mucha 240 do 321, bąk 240, osa 110, ważka 28, motyl biały 9.

Dalszym, jeszcze silniejszym argumentem, na dowód, że nie ciężar, lecz siła decyduje o możliwości unoszenia się w powietrze, była obserwacja samego lotu ptaków, jego szybkość i pewność. Mały ciężar ciała ptasiego mógłby od biedy usprawiedliwić tylko fakt utrzymywania się ptaka w powietrzu, ale nie usprawiedliwiłby faktu o wiele ważniejszego, mianowicie, że ptak poruszać się może w powietrzu według swojej woli, lecieć tam dokąd chce, lecieć nawet pod wiatr.

W samej rzeczy szybkość lotu ptaków jest bardzo duża, a w niektórych wypadkach wprost zdumiewająca. Niejednokrotnie udało się stwierdzić, że pewne odmiany ptaków osiągnęły w locie szybkość 80 metrów na sekundę, czyli około 300 kilometrów na godzinę. Według innych, bardziej ostrożnych wyliczeń, maksymalna szybkość lotu ptaka wynosi 62 metry na sekundę, t. j. 223 km. na godzinę. Szybkość taką może osiągnąć m. in. jaskółka, mewy, niektóre ptaki wędrownie, a także albatrosy i niektóre odmiany ptactwa morskiego. Natomiast gołąb osiąga zaledwie 94 kilometry, jako największą szybkość swego lotu, a nasze małe śpiewaki tylko 50 km. na godzinę. Szybkości te stanowią zresztą najwyższą granicę, którą te ptaki osiągają w wyjątkowych wypadkach i przejściowo, n. p. w czasie ucieczki przed niebezpieczeństwem, w pościgu lub zabawie i igraszkach. W czasie dłuższych lotów mewa np. leci z szybkością 50 km. na godzinę, sokół wędrowny z szybkością 55 km., jaskółka z szybkością 80 km.

Fałszywe mniemanie panowało także dawniej co do wysokości lotu ptaków. Zanim rzecz ta nie została ściśle zbadana przez obserwację z balonów na uwięzi lub samolotów, sądzono, że ptaki wzbijają się na wysokości 10 tysięcy metrów i wyżej jeszcze. W rzeczywistości zaś stwierdzono, że górna granica wysokości lotu ptaków leży na wysokości 2-3 tysięcy metrów. Wysokość tę osiąga tylko orzeł. Niepozorny skowronek potrafi wzbijać się na 1900 metrów w górę. Ale i to są wyjątki. Z reguły ani orzeł ani skowronek tak wysoko nie wzlatają, trzymając się w granicach do 400 metrów nad powierzchnią ziemi. Szczegóły te zostały stwierdzone na drodze systematycznych badań i obserwacji, czynio-

nych głównie przez ornitologa europejskiej sławy, Licanusa.

Samolot okazał się mało przydatny do badań nad lotem ptaków. Zbyt dużo robi hałas i ploszy ptactwo. Nawet orły i sepy, przestraszone, uciekają przed takim trzeszczącym i strzelającym potworem. To też ornitologowie używają do swych badań albo balonów na uwięzi, albo też pomiary swoje i obserwacje robią na wznieszeniach.

Lot ptaków zależy także od ciśnienia powietrza. W związku z tem prof. Harlé wygłosił w roku 1911 na zebraniu Societe Geologique niezmiernie interesującą teorię, przy pomocy której uzasadnia fakt, że z biegiem czasu wyginęły i w dalszym ciągu giną na ziemi niektóre rodzaje istot skrzydlatych z powodu zmian, jakie następują w gęstości i ciśnieniu powietrza. Prof. Harlé twierdzi, że w pewnych okresach ziemskich w powietrzu znajdowała się większa ilość kwasu węglowego, który, jak wiadomo, posiada wyższy ciężar gatunkowy niż powietrze. Dzięki temu powietrze było znacznie gęstsze i latanie było ogromnie ułatwione. Mogły więc nawet o wiele cięższe zwierzęta łatwo poruszać się w powietrzu. Z wykopaliśk dawnych ziemskich epok widzimy, że kiedyś żyły na ziemi zwierzęta, należące do rodzaju pośredniego pomiędzy dzisiejszym ptakiem a dzisiejszym płazem. Zwierzęta te o olbrzymich rozmiarach, unosily się jednak w powietrzu. Taki np. potwór z epoki kredowej, Pterodaktylus, posiadał skrzydła o rozpiętości osmiu metrów, a w epoce węgla kamiennego żyły ważki, posiadające metrowe skrzydła. W dzisiejszym powietrzu ani Pterodaktylus ani ważka z epoki węgla kamiennego nie potrafiłyby chwili je dnej utrzymać się w powietrzu. Gdyby w owych epokach żyli już ludzie, rozwiązanie problemu lotnictwa nie przedstawiałoby dla nich najmniejszej trudności. Wystarczyłyby bardzo słabe motorki, aby dźwignąć w tem gęstem powietrzu ciężar człowieka.

Rozważając te wyniki, trzeba dojść do wniosku, że człowiek w swojej dotychczasowej technice lotniczej dawno już przekroczył granicę rekordów przyrody, pomimo, że zdaje nam się, iż dopiero jesteśmy na początku rozwoju lotnictwa. I nawet nie rekordowe sukcesy utwierdzają nas w takim przekonaniu, lecz najnormalniejsze i powszednie dzisiaj wyniki lotnicze. Przecież już dawno przestaliśmy się dziwić, gdy człowiek przeleci na samolocie przestrzeń większą niż tysiąc kilometrów. Tak samo nie dziwimy się wcale, że na samolotach i w balonach osiąga się wysokości, na które żaden ptak wzbijać się nie potrafi. Pamiętać należy tylko o tem, że wiele wprawdzie zależy przytem od człowieka, jego bystrości umysłu, zdolności orientacyjnej, odwagi i odporności fizycznej, ale stokroć więcej od siły, przy pomocy której unosi się w powietrzu. Jeżeli źródło tej siły przestaje działać, nie pomogą człowiekowi żadne zdolności i żadna umiejętność — musi spaść na ziemię.

Niemniej jednak można już dzisiaj z dumą powiedzieć, że ludzkość w swoim triumfalnym pochodzie cywilizacyjnym osiągnęła już cel, który nawet Faustowi w jego najśmielszych marzeniach wydawał się nieosiągalny.

(—)

„Smiejmy się, kto wie czy świat
potrwa jeszcze trzy tygodnie”.

„Cyrułik Warszawski”

Najlepszy w Polsce
Ilustrowany Tygodnik Humorystyczny

Do nabycia we wszystkich księgarniach i kioskach T-wa „RUCH”.

LITERATURA, SZTUKA, TEATR, FILM

BISMARCK

Z końcem lipca minęła trzydziesta rocznica śmierci „Żelaznego Kanclerza” i twórcy Rzeszy niemieckiej. Znany pisarz niemiecki, Emil Ludwik, autor wielu biografii, opublikował w związku z tą rocznicą obszerną biografię Bismarcka, z której kilka ustępów przytaczamy.

Olbrzym, mówiący tak wysokim głosem, że każdy, kto słyszał go po raz pierwszy, doznawał rozczarowania. Fechtmistrz, jeździec, pływak, który załamany był w momentach depresji i tracił panowanie nad swoimi nerwami. Dyktator, który w trzech najbardziej decydujących momentach swojej działalności wylądował w szpazmach. Tak w rzeczywistości wyglądał ów mąż „z krwi i żelaza”. Kłębek nerwów, szarpany z wątpliwością i wewnętrznymi walkami. Uspokoić mogły go wiechy i burza, przestrogi i przyroda — siła woli trzymała się w karbach i panowała nad sobą, by urzeczywistnić swoje wizje i plany.

Troskliwie chował swoją prawdziwą naturę przed pokoleniem, wśród którego żył i w zdumiewający sposób grał rolę „Żelaznego Rolanda”. Dopiero po jego śmierci stały się dostępne dokumenty, które odsłaniają jego oblicze i czynią go postacią o wiele więcej interesującą niż była sztywna żelazna maska, którą sam sobie nałożył i którą gorliwie mu nakładano.

Wódz pełen ducha, a nie oficer kawalerji, genialny dyplomata, a nie człowiek brutalnej siły i twardej pięści. Przedewszystkiem zaś nie bałwochwalca swoich własnych metod politycznych i swego systemu, lecz bezlitosny krytyk swoich własnych sukcesów, oraz swoich wad. W zaufanym gronie swoich najbliższych nie cofał się przed żadną złośliwością w krytyce panujących, bezlitosnie odsłaniał wszystkie ich słabe strony i całą ich nieudolność. „Widziałem trzech królów w stroju Adama i mogę panów zapewnić, że nie zawsze pięknie wyglądali” — odezwał się pewnego razu, a po sto razy w inny, nie mniej złośliwy sposób, wyszydzał panujących.

Nie krytykował panujących poto, aby zdołać być sobie popularność wśród ludu, lub dlatego, że był wyznawcą ludu. Nie, tłum nie nawidział i pogardził nim nieskończenie bardziej niż królami. Jego wrodzony cynizm, wzrastający w nim wraz z sukcesami, nie cofał się przed niczem. I jeżeli w ogóle cośkolwiek ukochał ten człowiek poza władzą, to nie była to nawet Rzesza niemiecka, którą stworzył, lecz Prusy, skąd wyszedł i dla których w zjednoczonych Niemczech stworzył uprzywilejowane stanowisko. Cynik i sceptyk, pełen pogardy stawał przed ludźmi i rzeczami, przed narodami i księżętami. Miał jednak wrodzoną naturę artystyczną i nęcił go zawsze różne dawniejsze idee i pomysły, które nieraz próbował realizować, lubił zagarniać pod swój bezwzględny wpływ ludzi słabszych od siebie i zmuszać królów, aby służyli jego ideałom i planom.

Widownia tych czterdziestoletnich walk, tego ducha i umysłu było ciało, które nie znało nigdy miary w używaniu przyjemności i uciech, które wydały mu się godne pożądania. Nie znając miary w jedzeniu i piciu, zalał się w połowie sześćdziesiątki. Dopiero, gdy znalazł się lekarz, olbrzym i dyktator, taki sam jak on, zarządził rozsądniej. „Lekarzom zwykłym ja dyktowałem, co mają robić” — mawiał — „ten jest pierwszy, który mnie dyktuje”. Gdy lekarz ten — Dr. Schweninger — zjawił się pierwszy raz u niego i Bismarck nie chciał słuchać jego poleceń, spokojnie zabrał się do odesłania, mówiąc na pożegnanie: „Niech Eksceleńca zamówi sobie weterynarza...” To zaimponowało starszemu, i lekarz raz na zawsze zdobył sobie u niego autorytet i posłuch.

Nieoczekiwana i w upakarzający sposób udzielona mu przez młodego cesarza dymisja (1890), nie złamała siedemdziesięcioletniego męża. Przeciwnie, obudziła w nim ducha wojny i opozycji. Jakby doznał przypływu nowych sił na myśl, że oto znowu ma przed sobą wroga. A to, że wrogiem tym jest tym razem jego cesarz i władca, nie wzruszało go bynajmniej. Nazajutrz po dymisji zaczął prowadzić kampanię prasową przeciwko swemu następcy, a prócz tego tego przyjął propozycję firmy wydawniczej Cotta i zaczął pisać swój pamiętnik.

Historja tych pamiętników dotychczas nie jest ogólnie znana. Bismarck już po trzech latach miał gotowy rękopis całego dzieła, które, zgodnie z zastrzeżeniem w testamentie i dzięki pewnym intrygom sfer dworskich, dopiero w tym roku w całości ukaże się w druku. Dwa tomy już się ukazały poprzed-

nio, trzeci ukaże się dopiero teraz. Pierwotnie jednak ten trzeci tom nie istniał wcale jako odrębny, lecz był częścią całości dwutomowej. Ponieważ jednak w tym tomie mieści się drugocząca krytyka panowania i polityki Wilhelma II, już po śmierci Bismarcka wymuszono na jego rodzinie, by rozdzieliła te wogóle się nie ukazały. Rodzina nie chciała z domem panującym prowadzić wojny i zgodziła się na to, zmuszając z kolei firmę wydawniczą do wyłączenia tych rozdziałów z całości. Dopiero teraz zostaną one opublikowane i dopiero teraz Niemcy dowiedzą się o przestrozach Bismarcka, które — wzięte pod uwagę — byłyby może uchroniły je od straszliwej klęski i katastrofy.

Po farsie rzekomego pojednania pomiędzy starym kanclerzem a młodym cesarzem, której Bismarck nie wziął na serio i bynajmniej nie ustawał w krytyce, nastąpiły nowe rozdziewiki i nowe połowiczne pojednania, aż wreszcie nastąpiło ostateczne spotkanie cesarza i byłego kanclerza, w czasie którego ujawniła się cała tragedia tego stosunku. Było to pod koniec 1897 roku. Osiemdziesięciodwuletni starzec, od pewnego czasu owdowały i dzięki temu zupełnie już zgorszony, oczekiwał cesarza w hotelu na ganku swego pałacu. Minęły już czasy pałasy i hełmu kirasjerskiego, minęły już także czasy jazdy konnej i polowania. Złamane ciało oczekiwało, siedząc, cesarza i jego hałaśliwą świtę. Duch jednak żył i czuwał. Przy szampanie zaczęła się swobodniejsza rozmowa. Bismarck czuje, że nadszedł ostatni moment, ostatnia sposobność ostrzeżenia cesarza. Widzi jak w rękach dyktantów niszczy dzieło jego życia. Musiał dożyć tego, że nierównoważony władca, neurastenik i impetyk, samodzielnie decyduje o najważniejszych sprawach państwowych, o najważniejszych zagadnieniach polityki zagranicznej, że samodzielnie stanowi o sojuszach i traktatach. Widzi, że traktat z Rosją nie został odnowiony i że dzięki temu bezpieczeństwo państwa postawione zostało na los szczęścia i przypadku. Od wschodu i zachodu Niemcy są zagrożone sojuszem francusko-rosyjskim, który doszedł do skutku dzięki polityce cesarza. I zamiast szukać porozumienia przynajmniej z Anglią dla stworzenia jakiejś takiej przeciwwagi, cesarz i jego ministrowie nie omijają ani jednej sposobności, by nie podrażnić Anglii. Zaczynają budować wielką flotę i starają się o kolonie. Stary kanclerz, przykuty do fotelu, widzi z rozpaczą w sercu, że właśnie dzieje się to, czego on potrafił zawsze uniknąć. Widzi, że oto hoduje się w Niemczech absolutystyczny imperjalizm i to w czasach, gdy cała Europa zaczyna się gwałtownie radykalizować i od absolutyzmów się odwracać. Widzi, że dzieje się to w Niemczech, wciśniętych między dwie potęgi, wrogo wobec nich nastrojone.

Starzec przemaga swoją dumę i postanawia za wszelką cenę przestrecz cesarza. Zaczyna sam mówić o polityce. Tematu tego unikał młody cesarz przy każdym spotkaniu, aby nikt nie pomyślał, że szuka u kogoś rady, że uznaje i odczuwa potrzebę poznania innych poglądów, że zwłaszcza u Bismarcka szuka rady. Bismarck znowu nie chciał, by pomyślano, że pragnie narzucić się młodym cesarzowi z radami. Tym razem starzec przemógł swą dumę i pierwszy zaczął. Cesarz postanowił wykorzystać to i upokorzyć przeciwnika. Pokaże mu wobec swego otoczenia, że go nie potrzebuje, i że niema potrzeby słuchania jego zdania. Nie odpowiada nic na to, co Bismarck mówi i ostentacyjnie zaczyna opowiadać jakiś dowcip.

Starzec zrozumiał i zamilkł. Stół cały zaczyna głośno śmiać się z dowcipów Wilhelma... Jeszcze raz próbuje Bismarck mówić i zaczyna o stosunku Francji do Niemiec. Cesarz znowu nie słucha i zaczyna opowiadać nowy dowcip. Moltke, który siedział przy stole obok Terpitz, szepnął: „To jest okropne...”

Wtedy Bismarck zmienia taktykę i jednym z tych swoich niedoścignionych zwrotów, którymi zdumiewał w swoich młodych latach nawet Francuzów, przechodzi na inny temat i znajduje sposobność powiedzenia następujących słów:

„Tak, Wasza Cesarska Mość, jak długo W. C. M. ma dookoła siebie ten korpus oficerski, może sobie na wszystko pozwolić. Gdyby kiedyś tego brakło, to wszystko będzie inaczej”. Powiedział to — jak opisuje Tirpitz w jednym ze swoich wspomnień — z taką przedziwną swobodą, jakby nic sobie przytem nie myślał. Po tem właśnie poznał starego mistrza. Cesarz może nawet nie

dosłyszał tego, a jeśli dosłyszał, to zapewne szybko o tem zapomniał. Dwadzieścia jeden lat później nastąpiło to, co Bismarck przewidział: Korpus oficerski począł się rysować. Rozgromiona armja, przegrana wojna, odkryły naraz wszystkie braki tego systemu. A w godzinie największego niepokoju i największego niebezpieczeństwa nie znalazło się nawet stu oficerów, którzyby sprzysięgli się na ratunek swego króla. Nawet Feldmarszałek nie miał dla niego innej rady, jak tylko ucieczkę. Wtedy doprawdy „wszystko było inaczej”.

Ciężkie były ostatnie chwile Bismarcka. Troska o przyszłość Rzeszy nie opuszczała go ani na chwilę, zabierała mu sen i spokój. „Ucieka ode mnie sen” — mówił — „gdy pomyślę, że oto kruszą i podważają dom, który całe życie budowałem. Zamiast snu, przychodzą roje myśli”.

Dzieli się potem temi myślami z otoczeniem, rzuca swoje ostatnie przestrogi i daje wyraz swoim przewidywaniom, które wszystkie się ziściły:

„Jeżeli dobrze będą rządzić, to najbliższej wojny da się uniknąć, jeżeli źle będą rządzić, to może z tego wyniknąć nowa siedmioletnia wojna... Przyszła wojna wygrana będzie przez artylerję. Pułki można od biedy uzupełniać, armaty trzeba kuć w czasie pokoju... W Rosji republika jest bliższą, niż się nam wydaje... W walce pomiędzy pracą i kapitałem, praca odniosła najwięcej zwycięstw i tak będzie wszędzie, gdzie robotnik otrzyma prawo głosowania. Jeżeli kiedyś dojdzie do walki rozstrzygającej, to zwycięstwo będzie po stronie robotników...”

„... Moja obowiązkowość i dyscyplina stały się — jak się zdaje — przyczyną pożalowania godnego braku kości pacierzowej w Niemczech i przyczyną tego, że wyrósł u nas typ karjerowicza, pozbawionego często godności własnej... Wszystko zależy od tego, aby wzmocnić powagę parlamentu, a to stać się może tylko w ten sposób, że powoła się do niego ludzi zupełnie niezależnych i światłych... Parlament obecny chwije się, to doprawdy jedno generalne pełzanie, co się tam dzieje... Jeżeli tak dalej pójdzie, to obawiam się o przyszłość... Wolałem zawsze nikogo nie słuchać, niż innym rozkazywać: zdaje mi się, że przez całe życie byłem republikaninem...”

W roku 1871 w rozmowie z amerykańskim generałem Sheridanem, powiedział: „Miałem zawsze sympatie dla ustroju republikańskiego, ale w mojej praktyce rządowej musiałem niestety przekonać się, że Niemcy nie są jeszcze dojrzały do takiego ustroju”.

Dożył osiemdziesięciu trzech lat. Dwa dni przed zgonem siedział jeszcze w swoim fotelu, rzeźki, pałac swoją fajkę i popijając szampana. Zmarł na starcze osłabienie płuc i serca, bez walki i cierpień.

Wraz z nim zginęła nie tylko genialność, ale i żywotność w jego rodzinie. Dwaj jego synowie zmarli w wieku 49 i 54 lat jako alkoholicy. Jedyna córka dożyła wprawdzie siedemdziesięciu lat, ale kilkadziesiąt lat żyła w stanie zaćmienia umysłowego. Także i Bismarkowski duch niemiecki nie przeszedł na potomstwo. Najstarszy syn ożenił się z hrabiną czeską, półkwi amerykanka, najstarszy syny z szwedzką, a wnuczka wyszła za estończyka. M.

Radjo

TRANSMISJA UROCZYSTOŚCI WILEŃSKICH.

Nareszcie „Polskie Radjo” zaczyna rozmawiać, jak należy organizować transmisje uroczystości i obchodów, jak się robi „reporterkę” przez radjo: Ze nie wystarczy zainstalować w kilku miejscach mikrofony i niech tam słuchacz sam stara się domyślić, co oznaczają szmery i odgłosy, idące z głośnika, lecz, że trzeba przy mikrofonach postawić bardzo doświadczonych reporterów, posiadających duże wyrobienie dziennikarskie, wiedzających doskonale, co słuchacz chce wiedzieć i co zatem trzeba mu powiedzieć, aby radjo umożliwiło mu naprawdę przeżywanie wypadków rozgrywających się w miejscu, w którym ustawiony jest mikrofon.

Jeszcze dzisiaj, gdy przypominamy sobie „transmisję” inauguracyjnego posiedzenia nowego sejmiku, trzeba się oburzać na niedołęstwo, niezdarność Polskiego Radja, wykazaną w tak jaskrawy sposób przy tej okazji.

Transmisja z Wilna była już nieco lepsza. Zaangażowano parę artystów z teatru wileńskiego, która pełniła obowiązki speakerów i w formie dialogu informowała słuchaczy o wszystkim, co się działo w Katedrze i na placu przed Bazyliką wileńską.

gorzej już było z transmisją z sali teatru „Reduta”, gdzie przemawiał Marszałek Piłsudski. Widocznie para speakerów zaangażowana została tylko na przedpołudnie, a po południu przy mikrofonie postawiono jakiegoś niedołęgę, któremu ani raz nie przyszło w właściwym czasie na myśl, że zajścia na sali należałoby także objaśnić słuchaczom, którzy przecież chcieli wiedzieć, co się tam dzieje, dlaczego wybuchają okrzyki, oklaski, kto i z jakiego powodu przemawia i t. p.

Pomysł zaangażowania aktora i aktorki jako speakerów nie był zbyt szczęśliwy. Rolę taką można powierzyć tylko rutynowanemu reporterowi. Nawet najlepszy artysta w takim wypadku reportera nie zastąpi, bo tu chodzi nie o mniej lub więcej dowcipną deklamację, lecz o służbę informacyjną, wymagającą fachowca.

„Polskie Radjo” powinno wogóle więcej uwagi zwracać na działalność reporterską. Zagraniczne stacje radjowe nadają oddawna wszystkie większe zawody sportowe i wszystkie ważniejsze zdarzenia lub obchody. Panuje tam tendencja do „uruchomienia” mikrofonu, dąży się do tego, aby mikrofon znalazł się wszędzie, gdzie dzieje się coś takiego, co może zainteresować szerszy ogół słuchaczy. Warszawska stacja dotychczas nic w tym kierunku nie robi. Odnosi się wrażenie, że zakradł się tam do kierownictwa programów szablony biurokratyczny, zabójczy dla wszelkiej inicjatywy. Wciąż jedno i to samo w kółko, a jeśli czasem konieczne już trzeba zrobić coś innego, to pożałuj Boże, jak ta robota wygląda.

Zbliża się sezon jesienny a dotychczas niema żadnych zapowiedzi, jak kształtować się będą programy w tym sezonie. Przedewszystkiem zaś nadal nic nie wiadomo, kiedy ostatecznie zostanie uregulowana sprawa transmisji przedstawień operowych z Teatru Wielkiego w Warszawie. A może „Polskie Radjo” w dalszym ciągu chce raczyć słuchaczy transmisjami przedstawień operowych z Katowic i Poznania? Tak samo słuchacze chcieliby wiedzieć, jak rozwiązana zostanie w nowym sezonie sprawa muzyki lekkiej? Czy nadal zostanie, tak jak było dotychczas i poza zespołem kameralnym, stacja warszawska nie zdobędzie się na żadną orkiestrę własną? Transmisje z Filharmonji Warszawskiej, to bardzo piękna i chwalebna rzecz, ale raz w tygodniu. Olbrzymia większość słuchaczy w Polsce żąda od radja codziennej, lekkiej muzyki i „Polskie Radjo” powinno się do tego żądania zastosować. Śmieszem jest tłumaczenie się obowiązkiem propagowania wśród słuchaczy muzyki poważnej, śmieszem i nieszczerem, bo kryje się za niem albo niedza finansowa, albo nieuczciwe sknerstwo, nie liczące się z tem, że jeśli chce się szersze masy polskie zainteresować radjem, to należy dawać im to, co może je przyciągnąć. Aplikowanie dziesiątkom tysięcy ludności wiejskiej i robotniczej po trzy razy na tydzień ciężkiej muzyki z Filharmonji warszawskiej, a po cztery razy na tydzień muzyki kameralnej, to działanie na szkodę radjofonji polskiej. Kucharzy, którzy nie potrafią nic innego sprzątać, należałoby jaknajprędzej posłać... na koncert.

Aud.

Świeżo wyszły z druku:

Józefa Jankowskiego

Ślepy Margrabia

Widowisko sceniczne w trzech aktach z epilogiem (Dom książki polskiej)

Zł. 3.50

Historje niezwykłe

Nowele (Gebethner i Wolff)

Zł. 5

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Książki,

ESKADRA.

Janusz Meissner — *Eskadra* — powieść. Warszawa, 1928. Towarzystwo Wydawnicze „Rój”. Str. 165.

Powieść z życia lotników w czasie wojny. Autor pragnie stworzyć legendę lotniczą, pragnie zakłać i wywołać ducha eskadry lotniczej, te przecucia, wierzenia, zabobony, które rzekomo żyją w duszy każdego lotnika i w każdym zespole lotniczym. Zadanie raczej dla poety niż dla powieściopisarza. Dlatego też pod tym kątem widzenia powieść Meissnera nie jest udana. Tę „ducha” eskadry niema w niej i czytelnik go nie wyczuwa. Do ostatniej karty nie rozumie dlaczego kapitan Gerlicz nie był lubiany przez „zespół latający” swojej eskadry, a dlaczego jego poprzednik był przez tenże zespół ubóstwiany. Sam autor także tego nie rozumie, albo nie umie tego wyrazić. Stwierdza tylko, że tak było i kilka razy próbuje bez powodzenia wytłumaczyć, dlaczego.

Ale mniejsza o ducha eskadry. Nie przekonał nas autor o jego egzystencji i sam zapewne w nią nie wierzy. Zostawmy ten problem fantazji poetów. Meissner zapowiada się jednak jako doskonała, a może nawet wybitna siła powieściopisarska. „Eskadra” jest — o ile nam wiadomo — jego drugim utworem książkowym. Pierwszy był „Hangar”. Obydwa dla swoich pierwszorzędnych walorów literackich zasługują na baczną uwagę. Nie chciałbyśmy bawić się w proctwa, ale zdaje nam się, że z tej maki będzie chleb i że w Meissnerze współczesna literatura powieściowa zyska pisarza bardzo płodnego, bardzo inteligentnego i bardzo pożytecznego.

Charakter twórczości Meissnera — jak wnosić można z pierwszych prób — będzie nawskroś współczesny. Interesują go problemy techniczne, problemy zaś społeczne i moralne ocenia bardzo trzeźwo i bardzo trafnie. Sądymy też, że jaknajprędzej powinien śmiało przekroczyć bardzo ciasne kółko swoich zainteresowań specjalnych i odważnie zabrać się do napisania powieści, osnutej na problemach życia współczesnego lub na zagadnieniach, które nadchodzą. Zatoczył kilka „rund” nad lotniskiem — czas poszybować nad miasto, kraj i świat.

MAŁA PANI DUŻEGO DOMU.

Jack London — *Mała Pani Dużego Domu* — powieść. Autoryzowany przekład Wandy Borudskiej. Warszawa, 1928. Nakładem Towarzystwa Wydawnicze „Rój”. Str. 417.

Takiego Londona nie znaleźliśmy jeszcze. Bez trampów, poszukiwaczy złota, włóczgów, psów. Natomiast magnackie środowisko ziemiańskie w Kalifornii i trójkąt małżeński. Powieść prawie że obyczajowa.

Czyta się tę rzecz z wielkim zainteresowaniem ze względu na autora. W końcu jednak jest rozczarowanie. To naprawdę zupełnie inny London, niż ten, którym dotychczas zachwycaliśmy się. Tam był mistrz niedościgniony, tutaj spotykamy przeciętnego powieściopisarza i w dodatku amerykańskiego, a więc banalnego i płytkiego.

MAKSYM.

Henryk Devernois — *Maksym* — powieść. Z upoważnienia autora przełożyła Pajon de Moncets — Warszawa, 1928. Towarzystwo wydawnicze „Rój”. Str. 204.

Powieść, która należało wydać w polskim przekładzie. Przypomina poniekąd słynną powieść Maupassanta o pięknym chłopcu, robiącym karierę w zawodzie dziennikarskim. Bohater powieści Duvernois'a — Maksym, to do pewnego stopnia antyteza tamtego. Tam błyszcząca karjera, tu smutny upadek, schodzenie na psy. Ale jak tam, tak i tutaj człowiek z krwi i kości, postać żywa, narysowana z wytwornym i dyskretnym realizmem.

Powieść ta, to prawdziwa rozkosz dla inteligentnego czytelnika.

NA SYCYLIJ.

Stanisław Kozicki — *Na Sycylii* — (Wycieczka do Castel Mola, Spór Hermokratesa z Atenagorasem, Testament Cezara, Różgi Liktorskie, Pod przewodnictwem Wergiliusza). Warszawa, nakładem Gebethnera i Wolffa. Str. 125.

Wrażenia z podróży na Sycylię, skreślone przez miłośnika kultury rzymskiej, pełne refleksji i rozważań nad problemami współczesnymi.

OPOWIEŚCI MORSKIE.

Stanisław Marja Saliński — *Opowieści Morskie* — Cykl nowel. Przedmowa Zdzisława Dębickiego. Warszawa, Nakładem Gebethnera i Wolffa. Str. 147.

Saliński jest jedynym marynarzem w polskiej literaturze. Jest podobno dobrym i doświadczonym marynarzem, a marynarze są ludźmi, posiadającymi olbrzymie poczucie odpowiedzialności. Saliński widocznie długo namyślał się, zanim puścił w świat swój cykl morskich noweli. Znać w nich uczciwą pracę, znać zmaganie się z trudnościami. Wyszłed jednak zwycięsko z tej pierwszej wycieczki na zdradzieckie i pełne raf wody literatury. Opowieści jego tchną oryginalnością i dźwięczą w nich nuta przeżytych rzeczywistych i własnych obserwacji. Przypominają się najlepsze opowieści morskie z literatury niemieckiej i angielskiej. Książka Salińskiego to pierwsza zapowiedź wpływu morza na polską twórczość literacką. Salińskiego natchnęło także morze polskie. Opisuje wprawdzie dziwy, które oglądał i przeżywał na wodach dalekich, pod obcą flagą i wśród obcych, ale zapewne nie byłby napisał swoich opowieści, gdyby nie było mu danem wrócić z dalekich stron do Polski, która odzyskała niepodległość i ma swoje morze, gdyby nie danem mu było oglądać morskiej flagi Rzeczypospolitej.

Większość tych opowieści, to przeżycia z dalekiego świata, wrażenia z wędrówek po morzach egzotycznych, a jednak czyta się je z radosnym wzruszeniem, jakby jakieś bardzo bliskie i własne. Bo czytamy je z tą świadomością, że my też mamy nasze morze i że ocean i dla nas jest otwarty, że mamy prawo do takiej twórczości.

O PIĘCIU PANACH SULERZYCKICH.

Piotr Choynowski — *O pięciu Panach Sulerzyckich* — Nowele. Warszawa. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Str. 208.

Specjalnością Gebethnera i Wolffa są tomiuki nowel. Każdy taki tomik, zaopatrzone stemplem tej firmy wydawniczej, zawiera zawsze najlepsze utwory nowelistyki polskiej i zawsze zgóry można powiedzieć, że w danej chwili nic lepszego nigdzie się nie znajduje.

O Choynowskim mieliśmy już nieraz sposobność wspominać w naszej kronice wydawniczej. W chwili obecnej jest to jeden z najbardziej kulturalnych i najlepiej przygotowanych pisarzy. Utwory jego mają zawsze posmak historyczny i oparte są na bardzo gruntownych i bardzo sumiennych studjach. Raz jeszcze powtarzamy, że Choynowski winien jest literaturze polskiej cykl nowel biograficznych. Mamy nadzieję, że dług ten będzie splacony.

TEATRY WARSZAWSKIE

(Teatr Letni: „*Druga młodość*”, krotoczwila K. Scheinpfluga).

Uznaję bez zastrzeżeń wszelkie obowiązki pożyteczne i przyjemne. Cenię pożyteczne choć nie przyjemne. Ale nie mam najmniejszego przekonania do nieprzyjemnych i bezpożytecznych. A takim bywa czasem, niestety, t. zw. obowiązek dziennikarski, który każe recenzentowi omawiać każde sztuczki narówni ze sztukami, Moliera i... Scheinpfluga.

Otóż oświadczam, że się zbuntowałem. Nie będę omawiał „*Drugiej młodości*”. Nie będę omawiał tego nędznego, nudnego, niezdarne, ogórkowego farsydlu, którego autor czyni niedoleżne wysiłki, by powiedzieć parę starych dowcipów na temat sztucznego odmiadzanania, dopraszający się inteligentnego pióra Winawera. Nic nie pomogło. Nie pomogły nawet rzetelne starania aktorów, by niemrawą atmosferę rozruszać. Krotoczwila położyła się jak długa, tknięta snąc od urodzenia uwiadem starczym, na który żadna małpia kuracja nie pomoże...

Niewczesny pomysł wystawienia tej sztuczki, która literaturze czeskiej doprawdy nie przynosi chwały, dał niektórym krytykom a sumpt do modnych dzisiaj w pewnych kołach literackich utyskiwań na rzekome sabotowanie na naszych scenach polskich autorów dramatycznych i faworyzowanie obcych. „Wystawia się czeskie dyrdymałki, a polskie odrzuca!” — zdają się wołać, rozzwierając szaty. Nie wydaje mi się, by było oznaką patriotyzmu entuzjasmować się polskimi dyrdymałkami. Ale znalazłoby się może wyjście z tego zawilego zagadnienia: odrzucać szmiry zarówno polskie jak obce, a wy-

Sport

Rekord szybkości

Major Segrave pobit na samochodzie wyścigowym, zbudowanym w fabryce samochodów „Sunbeam” w Anglii światowy rekord szybkości. Jazda ta odbyła się w ubiegłym roku w Ameryce na wybrzeżu półwyspu Florydy, gdyż w Anglii nie udało się wyszukać toru, na którym taka jazda byłaby możliwa. Tor musiał być przedewszystkiem idealnie prosty, gdyż najlżejsze odchylenie od linii prostej w tak szybkiej jeździe groziło katastrofą przez przewrócenie się samochodu, a następnie tor musiał także być piaszczysty.

Obecnie ukazał się w druku pamiętnik majora Segrave, w którym opisuje on wszystkie swoje wyścigi samochodowe, a także i ową najszybszą jazdę, jaką kiedykolwiek odbył człowiek na ziemi.

Poniżej zamieszczamy w streszczeniu kilka ustępów z opisu tej jazdy.

Do tego czasu rekordu Segrave'a nikt jeszcze nie zламаł.

Przedewszystkiem chciałbym podkreślić, że owa rekordowa moja jazda na Florydzie była o wiele mniej ryzykowna, niż szereg innych moich jazd na torach europejskich. Bałem się tylko jednego, aby nie narazić się na śmieszność. W Ameryce wyprzedził mnie rozgłos, że pokażę jazdę w tempie 200 mil na godzinę (ok. 360 km.), stałem przeto wobec konieczności osiągnięcia tej szybkości, a nawet przekroczenia tej granicy, jeśli nie chciałem narazić się na śmieszność i kpiny. Musiałem przeto przygotować się na największy wysiłek i byłem zdecydowany uczynić wszystko, aby cel swój osiągnąć.

Maszyny swojej byłem pewny — wiedziałem, że zdolna jest rozwinąć taką szybkość, jakiej się po niej spodziewano. Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie odniosłem, gdy pierwszy raz usłyszałem huk jej motoru. Była wówczas jeszcze w fabryce w Wolverhampton, gdzie ją zbudowano. Olbrzymi korpus samochodu, który podobny był raczej do jakiegoś przedpotopowego potwora ze stali i żelaza, niż do dzieła rąk ludzkich, stał na rusztowaniu tak, że koła nie dotykały ziemi. Gdy zapuszczono motor, cała olbrzymia fabryka zadrżała, jakby ziemia się zatrzęśta. Poprostu nie da się słowami wypowiedzieć z jak olbrzymim impetem zahuczał *tyśiączkonny motor*. Ryk był tak ogłuszający, że zdawało się iż lada chwila czaszka pęknie. Łoskot tak gigantyczny i o tak niesamowitem brzmieniu, że tylko chyba z łoskotem jakiegoś kataklizmu można by to porównać. Ściany fabryki drżały i zdawało się, że dach lada chwila wyleci w powietrze. Jak dziecko bezsilne, milczący, stałem przed tym potworem.

Samochodów wyścigowych wiele już widziałem w swoim życiu i wiele prowadziłem na torach, kolos ten przewyższał jednak wszystko, co mogłem sobie w najbardziej fantastycznych snach wyobrazić. I chyba każdy mi uwierzy, że na myśl o tem, iż to ja mam kierować tą potworną machiną, panować nad nią i trzymać w karchach jej piekielną siłę, doznałem uczucia niepokoju i niepewności. Gdy uprzytomniłem sobie, że maszyna ta poniesie mnie z szybkością orkana, doznawałem jakby szoku nerwowego. Poraz pierwszy w życiu znalazłem się wobec samochodu wyścigowego, na którego widok spadło na mnie zapańczenie i niewiara w to, by człowiek potrafił zapanować nad drzemającą w nim siłą.

Opanowałem się jednak i postanowiłem złamać dotychczasowy światowy rekord szybkości i ustanowić nowy, którego świat po mnie się spodziewał. Zrozumiałem też, że na tym samochodzie będzie to możliwe. Mogę też dzisiaj powiedzieć, że maszyna moja, pędząc w decydującej chwili z szybkością 203.7 mil na godzinę (około 367 km.), nie wyczerpała jeszcze wszystkich swoich sił i była zdolna do rozwinięcia jeszcze większej szybkości.

Dzień przed odejściem okrętu, który miał mnie wraz z moim samochodem przewieźć do Ameryki, towarzystwo okrętowe „Cunard-Line” zawiadomiło mnie telefonicznie, że nie może załadować na pokład samochodu, ponieważ nie posiada takiego kranu,

stawiać dobre sztuki, przedewszystkiem polskie, a potem zagraniczne.

Są oznaki, że nowe kierownictwo literackie teatrów miejskich tę właśnie wytyczną obrało na nadchodzący sezon.

I. W.

który mógłby ten ciężar udźwignąć. Z tego można wnioskować o rozmiarach tej maszyny, która mierzyła 28 stóp długości a ważyła 6 ton. Musiano sprowadzić specjalne krany pływające, aby w końcu ten mój „bagaż podróży” załadować.

Po przybyciu do Ameryki, nie mogłem się obronić przed reporterami. Znajdowali mnie wszędzie i potrafili wymyślić najnieprawdopodobniejsze pozory, aby się do mnie dostać. Przez kilka dni nie miałem ani jednej chwili spokojnej. Od wczesnego ranka do późnej nocy zamęczano mnie wywiadami. Reporterzy amerykańscy nie cofali się przed żadnymi wydatkami, aby mnie tylko odszukać i uzyskać wywiad. Zdumiony byłem tą ich szaloną rozrzutnością.

Przed ostatecznym wyścigiem zrobiłem dwie próbne jazdy. Przy każdej asystował tłum 30 do 40 tysięcy osób. Tor dla samochodu wytyczono mi chorągiewkami na grubych palikach w stumetrowych odstępach. W czasie pierwszej próbnej jazdy jechałem z szybkością 100 mil, w czasie drugiej z szybkością 180 mil.

Nadszedł wreszcie dzień decydującego wyścigu. Dziesiątki tysięcy publiczności zgromadziło się na kilkudziesięcimilowej przestrzeni toru, za tłumami stały w szeregu tysiące samochodów. Na niebie ani jednej chmurki, w powietrzu żar tropikalny. Maszyny byłem zupełnie pewny — poznałem jej siłę i wiedziałem, że z łatwością osiągnie tempo 200 mil i więcej jeszcze.

I tak też się stało. Ale jak się to stało, tego powiedzieć nie potrafię. Usiłowałem połączyć w jakąś całość tych kilka migawkowych wspomnień, które mi pozostały w pamięci, ale jest widocznie ponad granice możliwości ludzkiej opisać bliżej wrażenia, które spadły na mnie w ciągu tych kilku sekund.

Pamiętam tylko, że ręce moje kurczowo trzymały kierownicę, że oczy miałem wlepione prosto przed siebie i nic nie widziałem oprócz drogi walącej na mnie w obłąkanym pędzie. Przepelniało mnie jednak jakieś rozkoszne uczucie. Zdawało mi się, że maszyna i ja to jedno, że posiadałem nadludzką siłę i że cel swój osiągnę.

Na połowie drogi samochód wypadł z linii prostej i zaczął się ślizgać. Na przestrzeni pół mili sunął bokiem i zmiotł cztery paliki, wytyczające drogę. Jakimś cudem udało mi się wyprostować go i pędziłem znowu prosto przed siebie.

Byłbym chętnie raz jeszcze powtórzył tę jazdę, miałem bowiem zamiar dać na koła stalowe okucia, co niewątpliwie pozwoliłoby mi uzyskać szybkość 215 mil na godzinę. Natrafiłem jednak na nieprzewidywany opór. Cały mój personel pomocniczy poprostu zastrajkował i zapowiedział mi, że ręki nie przyłożą do takiego przedsięwzięcia.

Może i dobrze tak się stało, mam jednak ciągle to uczucie, że samochód mój był zdolny do większej jeszcze szybkości. Dziś już samochód nie jest zdolny do wyścigu. Tak samo i ja postanowiłem nie brać więcej udziału w żadnym wyścigu, chyba że uda się jakiemuś amerykańskiemu złamać mój rekord szybkości, który ustanowiłem na chwałę Anglii. Wtedy — o ile nie wyprzedzi mnie jakiś inny Anglik — usiadę znowu przy sterze nowego samochodu, zdolnego do jeszcze większej szybkości, aby laur z powrotem zdobyć dla Anglii.

W pamięci pozostanie mi z okazji tej jazdy jeszcze jedno zdarzenie. Mianowicie po skończonym wyścigu otrzymałem od Rockefellera cztery monety dziesięciocentowe. Do monet tych przywiązana jest wieloletnia, bardzo ciekawa tradycja. Rockefeller od wielu lat na początku każdego roku każe wybijać dla siebie specjalnie, w mennicy państwowej kilka (najwyżej dziesięć) monet dziesięciocentowych, które następnie w ciągu roku rozdaje najwybitniejszym ludziom, którzy jego zdaniem w ciągu tego roku zdobyli największe zasługi. Stąd dziesięciocentówki Rockefellerowskie mają już dzisiaj historyczne znaczenie i cenione są w Ameryce jak jakieś bardzo wysokie i bardzo cenne odznaczenie. Rockefeller po wyścigu zaprosił mnie do swego samochodu, i wręczając mi cztery dziesięciocentówki powiedział mi, abym jedną dał matce, drugą ojcu, trzecią żonie, a czwartą zachował dla siebie.

Odnaczenie to uważam za najcenniejszy laur zwycięstwa.

(—)

BIEŻĄCE ZAGADNIENIA GOSPODARCZE I KRONIKA

Uwagi krytyczne

Czy zrobiliśmy postępy w ocenie zjawisk gospodarczych?

W dniu 24 lipca r. b. p. minister Kwiatkowski wygłosił w auli Uniwersytetu Poznańskiego w obecności p. Prezydenta Rzeczypospolitej piękny w formie, a pogłębiony w treści odczyt p. t. „Współczesne zagadnienia ekonomiczne na tle zagadnień politycznych”.

Szereg zwrotów, użytych przez p. Ministra w tem przemówieniu zachęcił mnie i podniecił do skreślenia kilku uwag krytycznych o stosunku rządu do zagadnień bieżących gospodarstwa, zagadnień, natarczywie wysuwanych przez życie, a nie wywołujących żadnego lub przynajmniej należytego echa tam, gdzie w pierwszym rzędzie wywołać je powinny. Nie można żadną miarą akceptować teorii, że zagadnienia wielkie przesłaniają zagadnienia małe, które dlatego zostają przesuwane na plan drugi; znaczyłoby to tyle, co dbać o las, nie dbając o drzewa. Wielkie problemy składają się z szeregu małych, niepodobnieństw więc byłoby usiłować rozwiązywać jedne, lekceważąc drugie.

Z tego punktu widzenia niema zagadnień małych, bo wszystkie, jako cząstki wielkiej całości, mają swoją jednakową wagę i znaczenie.

Niestety, jednak to się u nas zapoznaje — i stek tych odrębnych, zaniedbanych, zlekceważonych zagadnień we wszystkich dziedzinach życia gospodarczego, wytworzył, przynajmniej w sferach przemysłu włókienniczego, uczucie absolutnej bezsilności, stwierdzonej całkowitą bezowocnością wszelkich podejmowanych zabiegów i poczynań. Nie pozwolę się na to, że przemysł włókienniczy czuje się pod tym względem szczególnie upośledzony, przypisuje to bowiem tylko subiektywności, z jaką odczuwa się najdotkliwiej własne niepowodzenia. Skłonny jestem raczej przypuszczać, że mniej lub więcej tak samo odczuwają analogiczne dolegliwości i inne gałęzie przemysłu — każda w swoim zakresie. Wymownym dowodem tego była walna konferencja, odbyta w lutym r. b. pod przewodnictwem p. ministra Kwiatkowskiego

go i zgłoszone na niej dezycydaty ogółu sfer przemysłowych. To przekonanie napawa mnie poczuciem, że poniższe wywody moje nie będą nacechowane ani jednostronnością, ani partularyzmem, lecz, że przeciwnie w swej istocie odpowiadać będą myślom i sentymentom sfer przemysłowych polskich w najszerszym pojęciu.

Jako hasło dla nich wybieram dwa zdania z przemówienia p. Ministra w Poznaniu:

Jest to prawem obywateli, przynajmniej obywateli spełniających swoje zobowiązania wobec państwa, by poddawać działania Rządu jak najsurowszym i obfitej krytyce. Chcę tylko korzystać z praw każdego z obywateli, niezależnie od funkcji, jaką on w danej chwili pełni, by oświetlić niektóre z podstawowych zagadnień współczesnej Polski, tak ja się one jemu indywidualnie przedstawiają.

I. Ministerstwo Przemysłu i Handlu

„Z bieżących zagadnień gospodarczych — sprawa bilansu handlowego i kształtowania się cen na artykuły pierwszej potrzeby — stanowią punkt centralny zainteresowań się Rządu”.

(Z przemówienia p. min. Kwiatkowskiego).

W świetle tego oświadczenia na pierwsze miejsce wysuwają się natarczywe pytania: dlaczego rząd był mniej przewidujący od sfer gospodarczych i dlaczego tak względem ich opinii odporny, że tak bardzo opóźnił sprawę przerechnowania cel? Dlaczego czekał z dokonaniem tego do czasu, kiedy układ konjunktury wywoła odruch protestu ze strony innych państw? Dlaczego wreszcie, kiedy tak już się stało, tak bardzo uległ dawał ucho uroczonom czechów, którzy pierwsi przystąpili do ataku?

W dziedzinie wyrobów włóknistych kapitulacja nastąpiła na całej linii. Wszystkie bez wyjątku pozycje, dotyczące podstawowych wyrobów włóknistych uległy redukcji od 11,5 proc. do całkowitego zniwelowania dokonanego przerechnowania włącznie. Nie mogą przytem czynnikami ministerjalne powołać się na to, iż działały w nieświadomości warunków i szczegółów specjalnych, branżowych, bo przemysł był zapytywany i mimo nader krótkiego, bo zaledwie 2- czy 3-dniowego terminu, jaki mu został postawiony, wypowiedział się i twierdzenia swoje uzasadnił zarówno motywami natury specjalnej, jak cyframi i względami ogólnymi na zarysowujące się niepomyślne położenie. Zatem, jakkolwiek bardzo byłoby źle, gdyby ustalono ulgi celne ponad głowę przemysłu, osłabiłoby to jeszcze gorzej, bo ustalono je wbrew przemysłowi.

Możnaby pomyśleć, że przemysł, jako bez pośrednio zainteresowany, ujmował zagadnienie jednostronnie. Na to jednak odpowiedź decydująca daje pierwsze okoliczność, iż przemysł włókienniczy dowodnie, w czasie wszystkich prac rządowych na tej niwie, nigdy nie uprawiał polityki wysokocelowej i sam przy szeregu okazji dobrowolnie zrzekał się możliwości do uzyskania podwyżek. Po drugie, że w opracowanej opinii przemysł bynajmniej nie poprzestawał na stanowisku bezwzględnie negatywnym, owszem, sam wskazywał pozycje, w których pewne redukcje są dopuszczalne. Potrzebie, że ulgi przyznane zostały nawet dla takich pozycji, dla których strona przeciwna wcale ich nie wymagała (przedza bawelniana).

Jeden przykład jaskrawy: w dziedzinie przędzy wełnianej wytwórcy, a więc strona bezpośrednio zainteresowana, twierdziła, iż nowa, przerechnowana, stawka celna zapewnia jej ochronę w 5,5-7 proc. ad valorem, wobec czego redukcja jest niemożliwa. Nawet konsumenci (Bielsko), strona zainteresowana w kierunku odwrotnym i wypowiadająca się za redukcją, twierdzi, że nowa stawka zapewnia przędzy ochronę 7-9 proc. ad valorem. Ale i ten z dwóch przeciwnych stron tak niezawodnie stwierdzony niski poziom ochrony nie skłonił Ministerstwa do zajęcia stanowiska opornego i czesi uzyskali ulgę 15,4 proc.

Drugi przykład jaskrawy: clo na barwniki przerechnowane zostało według pełnego współczynnika waloryzacyjnego (172 proc.),

tkaniny barwione zaś według współczynnika zmniejszonego 130 proc. Przez to samo już stosunek ochrony został zmieniony na niekorzyść tkanin barwionych. Nie bacząc na to, stawki celne na wszelkie tkaniny barwione obniżone zostały o 15,4 proc.

Jaka była logika tych posunięć? Co uprawniło władze decydujące do tak wydatnego pogorszenia warunków konkurencyjnych dla wytwórczości krajowej na rynku wewnętrznym? Gdyby na to pytanie można było znaleźć odpowiedź czy to w szczególnej pomysłnych konjunkturach, zapewniających łatwy zbyty wyrobom rodzimym, a wygórowane zyski ich wytwórcom; czy też w niedostateczności produkcji własnej dla zaspokojenia potrzeb rynku — to musiałyby się przemysł zgodzić bez szemrania na ofiarę z części swych zysków na rzecz lepszego i tańszego zaopatrzenia ludności kraju. Gdy jednak jest wprost przeciwnie: gdy produkcja przeraża spożycie, wzmożona podaż dławi ceny, dla nadmiaru towaru szuka się z wyteżeniem ujęcia poza granicami kraju za wszelką cenę, gdy wreszcie skurczona zdolność płatnicza kupiectwa polskiego sztucznie się rozszerza przez coraz to dalsze wydłużanie terminów kredytowych, — to dziwić się nie można, iż przemysł musi sobie tłumaczyć szczególną uległość rządu tylko całkowitą jego obojętnością dla jego, przemysłu, interesów.

Ta interpretacja zyskuje jeszcze na sile przez wymowę statystyki przywozu. Eliminując luty i marzec, jako miesiące ze względu na zapowiedzianą już waloryzację nienormalną, dochodzi się do wniosku, że przywóz wyrobów włóknistych, wnoszących główny przedmiot przywozu czeskiego, mimo wprowadzenia nowych stawek celnych, nie zmniejszył się albo wcale, albo o tyle tylko, ile to uczyniły koniecznym ogólne warunki osłabionego zbytu i produkcji. To był przecie argument dla naszych negocjatorów przeciwko natarczywości wymagań czeskich. Dlaczego go nie użyto ku lepszemu obronieniu interesów własnego przemysłu i bilansu handlowego, który rzekomo stanowi największą troskę rządu? Dlaczego nie zasłoniło się niezmiernie ważkim wskazaniem na zniesienie reglamentacji przywozu?

Wiadomo: względy polityczne. Niestety jednak rzucony im na ofiarę przemysł nie ma przekonania, że ewentualne doraźne korzyści usprawiedliwiłyby tak bardzo wysoką cenę stałego narażenia jego interesów — i to nie tylko wobec samej Czechosłowacji, lecz jednocześnie wobec wszystkich krajów, z którymi mamy traktaty z klauzulą największego uprzywilejowania. Okolicznością olbrzymiej wprost wagi jest przytem jeszcze wydatne obniżenie poziomu cel dla pertrakcji z Niemcami. Nie może przecie być wątpliwości co do tego, że Niemcy już ten obniżony poziom uważać będą za podstawę do swych targów.

W dodatku pośpieszono się tak bardzo z urzędywistnieniem przyznanych Czechosłowacji ułatwień, że wprowadzono protokół w życie, nie czekając na formalnie wymaganą ratyfikację przez sejm. Prośby, by przeczekać w celu poprawienia dla przemysłu polskiego szans przynajmniej na kilka głównych miesięcy sezonu zimowego po chybionym sezonie letnim, były równie daremne, jak mo-

tywy oporu przeciwko samemu protokółowi, i obniżone stawki celne weszły w życie z dniem 1 sierpnia.

Skutki nie będą mogły nie podążyć w ślad za złym czynem. Nie należy oczekiwać ich koniecznie w postaci zwiększonych cyfr przywozu. Warunki bardzo słabego obecnie, a w dodatku przesyconego i spekulacyjnym przywozem marcowym i forsowną podażą wewnętrzną rynku są obecnie tak ciężkie, że przywóz może się ilościowo nie powiększyć, a nawet zmniejszyć. Ale ilekolwiek się przywiezie — zawsze wiedzieć będziemy, że przywieziono by mniej, gdyby stawki pozostały niezmienione. Czy dlatego, że za pewniałyby one szczególnie wygórowaną ochronę? Bynajmniej: tylko dlatego, że wymagałyby od importerów większego nakładu pieniężnego, co przy dzisiejszym głodzie pieniężnym jest okolicznością bardzo decydującą.

Ta dziwnie uodporniona wrażliwość czynników Ministerstwa Przemysłu i Handlu na argumenty przemysłu ma już swoją historję. Znalazła ona wymowny wyraz w sposobie rozstrzygnięcia bardzo zasadniczej kontrowersji między jednostkami, pragnąciami przywozić z zagranicy w trybie obrotu uszlachetniającego masowo wyrobione w kraju gatunki przędzy, a zbiorowością przemysłu, przywozowi temu stanowczo się przeciwstawiająca. Argumenty, zdawałoby się, najjaśniejsze: uszczuplenie zbytu dla przędzy krajowej, wytworzenie nierównych warunków dla eksporterów tkanin, zmniejszenie materialnego efektu wywozu i t. p. nie odniosły skutku. Przywóz został dopuszczony i jeżeli nie pociągnął za sobą poważniejszych następstw ujemych, to tylko dlatego, że okazał się absolutnie nieopłacalnym i został wyszarysowany tylko w zupełnie znikomej części objętych zezwoleniami ilości. Wszelako zasada została złamana i zastosowana nawet wobec fabryki kaloszy, która potrzebowała przędzy dla wyrobu podszewki kaloszowej. Jeżeli bezcłowy przywóz przędzy dla wyrobu przeznaczonych na eksport tkanin mógł mieć jeszcze jakie takie pozory sensu — to — jako zgłola drugorzędny czynnik dla ceny kaloszy nawet tych pozorów jest pozbawiony. Bo ponieważ nie może być mowy o tem, by chodziło o lepszy gatunek przędzy, chodźć mogło tylko o cenę. A przecie nawet dziecko nie uwerzy w to, że na cenę parę kaloszy zaważyć może miarodajnie różnica kilku, lub nawet kilkunastu procent w cenie zużytej na wyrób podszewki przędzy! I wreszcie: ile to tych kaloszy wywozimy i w jakiej mierze ich wywóz waży na bilansie?

W każdym razie pojawienie się na rynku łódzkim fabryki wyrobów gumowych w charakterze sprzedawcy przędzy zagranicznej jest, w związku z tem, wydarzeniem ciekawym i ważnym.

Powszechnym jest zdanie, iż stanowisko Ministerstwa w tej sprawie przesądzone zostało przez ogólną opinię o wyjątkowo szczęśliwych konjunkturach dla przedsiębiorstwa bawelnianego w Polsce. I istotnie zaprzeczyc się nie daje, że ta gałąź wytwórczości okres takich konjunktur nawet dość długi, przeżywała. Czy jednak samo to jest dostatecznych konjunktur? To jednakże właśnie stało się u nas już tradycją. Zapoczątkowały ją

Odpisy na amortyzację

W oficjalnym organie „Przemysł i Handel” czytamy:

„Izba Handlowa w Katowicach zwróciła się do zainteresowanych swego obrotu o wypowiedzenie się, jak należy rozumieć ustęp 7 § 16 rozporządzenia do ustawy o podatku dochodowym, które głosi, że wszelkiego rodzaju odpisania za zużycie mogą być uskutecznione bezpośrednio z wartości przedmiotów, ulegających zmniejszeniu się wartości z powodu zużycia, lub przez wstawienie w pasywach bilansu odpowiedniej kwoty, wyrażającej zmniejszenie się wartości w danym roku operacyjnym. Na tle tego przepisu powstają w niektórych okęgach nieporozumienia między władzą skarbową a płatnikami.

Władze stoją na stanowisku, że zawsze ten sam procent odpisów winien być stosowany do każdorazowej wartości książkowej przedmiotów. Wówczas amortyzacja, powiedzmy, maszyny wartości zł. 10.000 przedstawiałaby się w ten sposób, że w pierwszym roku odpisanoby zł. 1.000, w drugim — 10% od pozostałej wartości książkowej zł. 9.000, co daje zł. 900, w trzecim — zł. 810, czwartym zł. 729 i t. d. Po dziesięciu latach wartość książkowa wynosiłaby zł. 3.487, po 20 latach zł. 1.216, a nawet po 30 latach pozostałoby niezamortyzowane jeszcze 4% pierwotnej wartości przedmiotu.

Sfery gospodarcze natomiast chcą, aby suma odpisów była stała, a jak w danym wypadku co rok zł. 1.000, zmienną zaś wartością byłaby wartość przedmiotu, która z roku na rok obniża się wskutek amortyzacji.

Zarówno jeden, jak i drugi sposób mają oparcie w przytoczonym na początku przepisie rozporządzenia. Kiedy za podstawę odpisów bierze się wartość przedmiotu, to, skoro w rozporządzeniu nie jest powiedziane, a w tem tkwi jeden z powodów nieporozumienia, że ma to być pierwotna wartość przedmiotu, władze podatkowe słusznie biorą za podstawę bieżącą wartość, wykazaną książkowo, która — jeżeli jest ujawniona na odnośnych rachunkach bilansowych po potrąceniu sumy amortyzacyjnej, musi być mniejsza od wartości pierwotnej. Natomiast sfery gospodarcze, przyjmując drugi sposób odpisów, popełniają ten błąd, że wykazują w aktywach bilansu zmniejszoną wartość przedmiotu, zamiast wykazywania zawsze pierwotnej wartości przedmiotu, aż do jego amortyzacji, i wykazywania oddzielnie w pasywach bilansu funduszu amortyzacyjnego do czasu jego zrównania się z pierwotną wartością przedmiotu.

Nieporozumienie tkwi zatem w nieprawidłowym książkowaniu i dlatego łatwo je usunąć. W bilansie zawsze należy zapisywać pierwotną wartość przedmiotu, w pasywach zaś uwidocznić odpisania pod nazwą funduszu amortyzacyjnego”.

pierwsze rządy, opierające swą działalność na najfałszywszych założeniach gospodarczych, zabijające wszelką inicjatywę, paraliżujące wszelki rozmach. Ale przecie od tego czasu zrobiliśmy podobno znaczny postęp w ocenie i ujmowaniu zjawisk gospodarczych. Przyszedł czas, że w tym wypadku nie zdawałoby się na zamykanie, że nader trudno byłoby uzasadnić gospodarczą rację poprawiania lukratywności jednej gałęzi przemysłu kosztem drugiej.

Czy może w tych warunkach przemysł włókienniczy ludzi się jeszcze co do tego, że interesy jego pozbawione są należytego zrozumienia w głównym gospodarczym resorscie rządowym, i oszczędzić sobie posępnego stwierdzenia, że głos jego przebrzmiewa tam bez żadnego echa?

Dr. Marceł Barciński.

Rozdziały dalsze p. t. „Ministerstwo Skarbu” i „Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej” ukazały się w następnych numerach).

Na emigracji

POLACY W BELGJI.

Północna Belgja (prowincje: Antwerpja, Limburgja, Flandria wschodnia, Flandria zachodnia) liczyła pośród swej ludności około 19.000 obywateli polskich. Największa ilość z pośród wymienionych, przeszło 15.000 osób, przebywała w mieście Antwerpji. Są to przeważnie obywatele polscy narodowości żydowskiej, zatrudnieni w większości wypadków w hadlu i przemyśle djamentarskim. W miastach (Antwerpji i Gandawie) przebywało nadto około 370 studentów, obywateli polskich, w tem 95 polaków i 275 żydów. Prócz tego, w zagłębiu węglowem Campine (prowincja Limburgja) pracowało w dniu 1. I. 1927 r. polaków górników wraz z rodzinami około 3.300, przybyłych przeważnie z Niemiec (Westfalja), Francji (Pas de Calais, Nord) lub bezpośrednio z Polski (G. Śląsk i pow. Wieluński).

O ile chodzi o ilość górników-polaków w Limburgji, to wzrosła ona w ciągu 1927 r. o około 850 osób. Są to przeważnie nowoprzybyli robotnicy z Francji (Nord, Pas de Calais) przybywający do Belgji w poszukiwaniu lepszych warunków pracy i życia. Nieznaczna część tych robotników przybywała z rodzinami. Ogólna ilość górników polaków w Limburgji wynosiła w początku 1928 roku 4.157 osób.

STAN ZATRUDNIENIA W GÓRNICTWIE BELGIJSKIEM.

W roku 1927 belgijskie kopalnie węgla zatrudniały 175.500 robotników na ogólną ilość 1.500.000 robotników w Belgji. Cudzoziemców pracuje w górnictwie belgijskiem około 18.000, w tem najwięcej polaków i włochoów.

EMIGRACJA PRZEZ ANTWERPJE.

Według statystyki, zestawionej przez belgijski Komisarjat Emigracyjny, z portu antwerpjskiego w r. 1927 wyjechało do krajów zamorskich obywateli polskich 2.313 na ogólną liczbę 21.946 wychodźców, którzy udali się z Antwerpji do krajów zamorskich na statkach komunikacji bezpośredniej.

PLACE ROBOTNICZE W JUGOSŁAWJI.

Plące dzienne robotników wykwalifikowanych i rzemieślników według informacji Wydziału Konsularnego Poselstwa R. P. w Belgradzie wynosiły:

Zawód	Plące w dinarach		
	przecięt-na	najniż-sza	najwyż-sza
Robotnicy budowl.	75	50	120
Robotnicy tkaccy	32	20	41
Metalowcy	128	96	144
Krawcy	180	50	120
Zecerzy	120	87	150
Intriligatorzy	120	87	150
Cieśle	50	45	90
Szewcy	59	35	80
Piekarze	64	48	80
Subjekci sklepowi	40	25	70

przyjechało w r. 1927 18.866 obywateli pol- Plące robotników półwykwalifikowanych przemysłowych i robotników rolnych wynoszą przeciętnie 42 din., najwyższe — 70 din., najniższe — 25 din.
1 dynar = 15 i pół grosza.

PLACE ROBOTNICZE W RUMUNJI.

Według informacji Konsultatu R. P. w Czerniowcach dzienne plące robotnicze wynosiły:

robotnicy niewykwalifikowani — od 100 do 150 lei,
robotnicy wykwalifikowani — 150 do 250 lei.

Robotnicy sprowadzeni z zagranicy otrzymują 4.000 do 8.000 lei miesięcznie oraz skromne mieszkanie z opałem i światłem, o łącznej wartości 1.500 lei miesięcznie.

Wynagrodzenie majstrów i kierowników oddziałów wynosi równowartość około 100 dol. amer., t. j. od 16.000 do 20.000 lei miesięcznie.
1 lei = 5 i pół grosza.

EMIGRACJA DO ARGENTYNY W ROKU 1927.

Stosownie do statystyki argentyńskiej przyjechało w r. 1927 18.866 obywateli polskich.

Podobnie jak w latach poprzednich emigracja polska do Argentyny zajęła w r. 1927 pod względem liczebnym 3 miejsce.

W samej rzeczy w tymże roku przybyło:
Włochów 70.525
Hiszpanów 35.194
Polaków 18.866
Jugosłowian 7.136
Niemców 5.868
Czechosłowaków 4.461
Ogółem przybyło cudzoziem. 172.580

W porównaniu z rokiem 1926 liczba emigrantów polskich zwiększyła się o 4.982.

Amerykańskie lasy

Jedno z największych zagadnień gospodarstwa światowego, o którym naogół tylko mało się pisze, zyskuje znaczenie i aktualność, jeżeli się jedzie w poprzek Kanady i wzdłuż wybrzeży Pacyfiku w dół od Vancouver, przez stany Waszyngton i Oregon, a więc przez najbogatsze w świecie obszary drzew szpilkowych, do Kalifornji. Narzuca się pytanie, *na jak długo wystarczą zapasy drzewa przy obecnych metodach rabunkowych i stale wzrastającej konsumpcji.* Rzeki na wschodzie Kanady są o tej porze pełne pni drzew, ściętych w ziemi, a teraz pędzonych przez setki mil do największych fabryk celulozy i papieru. Każdy pień oznaczony jest karbem. W centrach fabrykacji te nieprzejrzane strumienie drzewa są zatrzymywane, i po segregowaniu skierowywane przez służę do fabryk, tam na ogromnych pasach transportowane do zakładów przetwórczych, a po kilku tygodniach sprzedawane na ulicach Nowego Jorku, Chicaga, Bostonu i t. d. w formie gazet olbrzymich rozmiarów. Sam „New York Times”, której wydanie niedzielne waży około kilograma, spotrzebuje każdego tygodnia pokazy las drzew kilkudziesięcioletnich.

W olbrzymich obszarach kontynentu amerykańskiego, jeszcze dzisiaj przeważna część domów zbudowana jest z drzewa. A ponieważ zużycie odpadków z tartaków opłaca się tylko w niewielu punktach, wiele tysięcy ton spala się częściowo jako materiał opałowy, częściowo w celu ich zniszczenia. Ale o wiele większą od tego marnotrawstwa, jest strata wskutek pożarów leśnych. Nawet działalność małej floty powietrznej, jako straży, nie o wiele zmniejszyła klęskę pożarów. W ogromnych starych lasach pasma górskiego „Rocky Mountains” i w stnach nad Pacyfikiem, płańcące drzewostany nie są, jak w Europie, rzadkością. Corocznie około 8 milj. akrów lasów niszczone w Stanach Zjednoczonych od ognia. Milami sterczą ogromne zwęglone pnie. Całe góry są nieprzebyta gęstwiną zwalonych i spalonych drzew, stojących na przeszkodzie naturalnemu odrostowi. A sztuczne zalesienie, w Europie tak bardzo rozwinięta umiejętność, bez której drzewostany zupełnieby znikły, jest prawie wcale nie rozwinięte. Niskie ceny drzewa, (z powodu ogromnej podaży ze strony tych, którzy leśnictwo uprawiają według zasad górnictwa), wysokie podatki od obszarów (nakładające ogromne ciężary na lasy, jeszcze nie zdane do wycięcia), oraz iście amerykański optymizm, uważający wszy stkie troski przyszłości za niegodne bogatej terażniejszości, stają na przeszkodzie planowej kulturze leśnej. 70 procent starego drzewostanu Ameryki, dostarczającego najpotężniejszych pni, już zostało wyciętych. A w stosunkowo krótkim czasie będą wyczerpane ogromne kilkasetletnie świerki, częstokroć dochodzące do 120 m. wysokości i 3 m. grubości, gdyż teraz jeszcze pochodzi 90% ogólnej produkcji wysokowartościowego budulca z tych przedhistorycznych drzewostanów. A nawet co do ilości, naturalny odrost wydaje najwyższą jedyną czwartą tego, co się konsumuje i eksportuje. Wszelkie usiłowania rządu, wszystkie sprawozdania komisji, przestrogi i opinie zagranicznych rzeczoznawców leśnych nie doprowadziły do planowej polityki zalesienia. Coraz to większe obszary leżą odłogiem. Rolnictwo bowiem nie będzie w następnych 50 latach potrzebowało tych gruntów, które tylko zapomocą kosztownego rozsadzania dynamitem mogą być oczyszczone z ol-

brzymich szczątków drzew i korzeni, nawet i wtedy, gdyby ludność w dotychczasowym stopniu wzrastała.

M. S.

Krótkie wiadomości gospodarcze

Węgierski minister skarbu przedłożył parlamentowi ustawę, przewidującą kontrolę rządu nad węgierskimi pożyczkami, zaciągniętymi zagranicą. Celem ustawy jest zapobiec niesystematycznemu zaciąganiu pożyczek zagranicznych. Rząd życzy sobie ograniczyć i kontrolować wszystkie pożyczki, które zamierzają zaciągnąć gminy lub inne instytucje samorządowe. Dla takich pożyczek będzie wymagana aprobata ministra skarbu, a w niektórych wypadkach również i ministra spraw wewnętrznych. W pewnych okolicznościach trzeba będzie zasięgać opinii węgierskiego banku emisyjnego.

Szereg przedziałni wełnianych w Lancashire zamierza sfusionować się. Towarzystwa, które przystąpią do nowego koncernu, mają siedzibę swą przedewszystkiem w Backley i Dewsbury. Co do wysokości kapitału zakładowego wymieniane są bardzo wysokie cyfry, które, zdaje się, jednak są przesadzone. Pewnym jest, że sfinansowanie nastąpi z własnych środków i że banki lub grupy finansowe z zewnątrz nie będą brały udziału.

Jak z Rzymu donoszą, rząd rumuński otrzymał od Banca Commerciale Italiana kredyt 12 milionów dolarów na przeciąg 6 miesięcy.

Czechosłowackie Ministerstwo Skarbu wydało rozporządzenie co do obniżenia cła na sztuczny jedwab. Cło przywozowe na sztuczny jedwab, które dla poszczególnych gatunków wynosiło dotychczas 7—9 koron za kilo, zostało zmniejszone na 1,50 za kilo.

Na ostatniem ogólnem zebraniu Towarzystwa „Mond-Nickel” w Londynie, poruszył sir Alfred Mond również kwestję porozumienia wytwórców platyny i dał przytem wyraz zapatrywaniu, że angielskie gospodarstwo ma wielki interes w dojściu do skutku porozumienia z Rosją i innymi wytwórcami platyny. Znanem jest, że Anglicy na rynku platyny chcą dojść do konwencji cennikowej lub wogóle do kartelu, gdyż zarówno w Kanadzie, jak i w Afryce południowej kopalnie platyny i jej przeróbka nie są w dostatecznym stopniu rentowne. Produkcja światowa platyny z rudy oceniana jest za rok 1927 na 175.000 uncji, z czego na Rosję przypada około 56—57 proc., na Kanadę 5,5 proc., a na Transwaal i resztę południowo-afrykańskich obszarów 6 proc. Bez udziału Rosji niemożliwa jest ani konwencja, ani syndykat w gospodarstwie platyną. Chwilowo można nie tylko w Stanach Zjednoczonych, ale i w Europie obserwować zmniejszenie się zużycia platyny. W Londynie i New-Yorku można nabyć obrobiony, jak i nieobrobiony materiał poniżej ceny oficjalnej.

Wywóz samochodów z Włoch wykazuje w roku bieżącym znaczny spadek. W pierwszych 4-ch miesiącach eksportowano tylko 7.461 samochodów wobec 11.441 w tym sa-

mym okresie roku ubiegłego. Niekorzystny ten rozwój należy w pierwszym rzędzie przypisać wyparciu włoskiego samochodu z angielskiego rynku, który jeszcze w roku zeszłym z konsumcją 2.391 samochodów w 4-ch miesiącach był najważniejszym odbiorcą włoskich samochodów. W tym roku natomiast Anglja sprowadziła z Włoch tylko 261 samochodów; również zbyt w Szwajcarji, która dotychczas także była ważnym rynkiem eksportowym, spadł z 871 wozów w r. ub. na 334. Natomiast Niemcy, które w r. 1926-ym, jako odbiorcy, stały na szóstym, a w r. 1927 na drugim miejscu, wybiły się na czoło wszystkich krajów, importujących włoskie samochody. Również korzystny rozwój wzięty włoski eksport samochodów do Francji, Belgji i Polski.

Według wiadomości z Pragi, szereg niemieckich fabryk, wyrabiających maszyny specjalne dla przemysłu drzewnego, zwrócił się do Czechosłowacji celem urządzenia tamże fabryk z uzasadnieniem, że produkcja dla nich w Czechosłowacji jest tańsza.

W pierwszym kwartale 1928 r. dochody z cła w Czechosłowacji oraz czysty dochód z monopolu tytoniowego przyniosły — 647.232.698 kor. cz. wobec 584.276.890 kor. cz. w tym samym okresie 1927 r.

Parlament perski przyjął ustawę o monopolu opiumowym, która przewiduje kontrolę wszystkich tranzakcyj w kraju i zagranicą, których przedmiotem jest opium i jego przetwory. Krajowa konsumcja będzie obniżona o 10 proc. rocznie, a eksport będzie dozwolony tylko za opłatą specjalnej taksy.

Australja zakupuje 32 wojskowe samoloty kosztem 150.000 funt. ang. celem wyekwipowania dwóch nowych eskadr lotniczych.

Pod wpływem kilku większych holenderskich producentów surowej gumy, minister kolonii i gubernator Indji holenderskich rozważali możliwość rozciągnięcia kontroli nad holenderską, prywatną produkcją surowej gumy. Większość rządu sprzeciwiła się jednak tego rodzaju etatystycznemu wkroczeniu. Natomiast rząd gotów jest udzielić swego poparcia, gdyby prywatni przedsiębiorcy sami powołali do życia odpowiednią organizację. W każdym razie rząd będzie się starał poprzednio rozważyć wszelkie prywatne środki organizacyjne, zanim zdecyduje się na ingerencję państwową.

ZBIÓR TRAKTATÓW I KONWENCYJ HANDLOWYCH.

Biblioteka Wyższej Szkoły Handlowej w Warszawie. — Zbiór traktatów i konwencyj handlowych, zawartych przez Polskę. Nakładem Wyższej Szkoły Handlowej w Warszawie. Tom II. 1925—1927.

Każdy tekst traktatu lub konwencji podany jest w dosłownem brzmieniu francuskim oraz w oficjalnym przekładzie polskim. Do każdego traktatu dołączone są wszystkie załączniki tak, że wszystko, co tylko odnosi się do jakiegoś traktatu lub konwencji zainteresowany czytelnik znajdzie w książce i nie jest odsyłany ani do „Dziennika Ustaw” ani do „Monitora Polskiego”. Wydawnictwo to ma szczególnie duże znaczenie dla bibliotek publicznych oraz dla księgozbiorów placówek i instytucyj gospodarczych.

Spółka Akcyjna Przedziałni wełny czesankowej „DĄBRÓWKA” w Łodzi Bilans w dniu 31 grudnia 1927 roku.

STAN CZYNNY.		Złote w złocie		STAN BIERNY		Złote w złocie	
Papiery publiczne			149.38	Kapitał zakładowy			1,000,000.—
Nieruchomości			941,253.54	Kapitał zapasowy			543,476.47
Maszyny i urządzenia			1,053,867.13	Kapitał amortyzacyjny			468,845.54
Dłużnicy			221,439.41	Wierzyciele			8,122.39
				Podatek majątkowy			9,700.14
				Dywidenda			40,000.—
				Wynagrodzenie Zarządu			9,000.—
				Zobowiązania długoterminowe			137,392.16
				Pozostałość zysku			172.76
							2,216,709.46
			2,216,709.46				2,216,709.46

Rachunek zysków i strat za rok 1927.

Złote w złocie		Złote w złocie	
Przychód	214,806.20	Na kapital amortyzacyjny	128,391.14
Rozchód	37,242.30	Na wynagrodzenie dla Członków Zarządu	9,000.—
		Na dywidendę	40,000.—
		Przeniesienie na rok 1928	172.76
			177,563.90
	Zysk 177,563.90		

Złote w złocie rozumieją się według relacji, określonej w Rozp. Prez. Rzplitej z dnia 20 stycznia 1924 r. (Dz. U. Nr. 37 poz. 401)

Pamiętki przeszłości w okręgu łódzkim

Konin

Dojazd do Konina jest łatwy, pobyt w tym mieście miły i wygodny.

Przed wiekami tędy właśnie wędrowali przedhistoryczni mieszkańcy puszczy i pół ku swym, tajemnym dla nas, gniazdom: tu bowiem był przesmyk między bagnami Warty.

W okresie życia osiadłego plemion polskich ten przesmyk właśnie łączył ogniska cywilizacyjne Kalisza i Gniezna. W miejscu nim i bagnistym zbudowali nieznanymi imieniami władcy silne strażnicze grodzisko — nad wodami wciąż zmieniającej bieg swój Warty, w kramie nadrzecznych rozległych pastwisk z wielkimi borami na horyzoncie. Za króla Chrobrego gród koniński już istniał i najpewniej jakąś rolę polityczną odgrywał.

Pierwsza osada powstała na wzgórkach nadrzecznych w znacznej odległości od grodu. Potem, może w związku z przesuwaniami się koryta rzeki i względami na bezpieczeństwo, rozbudowało się nowe miasto Konin — nie wczoraj zresztą, a w końcu wieku XIII; wtedy najpewniej pojawiły się i utrwały zasady prawa niemieckiego, rozkwitł dobrobyt i oświata.

W dawnym korycie Warty, na sztucznym usypisku, połączone ze światem groblami i mostami, przeżyło to miasto wiek złoty i wiek żelazny. Gościło w swych murach chytrego Montlucę przed pierwszą wolną elekcją i barbarzyńskich oficerów Karola XII w dobie największego w Polsce chaosu. Z ruiny smutnej dźwignął je dopiero rząd Królestwa Kongresowego. Od tego czasu pełni ono bez przerwy funkcję ośrodka dla obszernego okręgu, przejawiając siłę trwania i chęć rozwoju.

Historji tego miasta nikt, o ile mi wiadomo, nie pisał. Nic nie mogę powiedzieć o materiałach archiwalnych do jego dziejów. Wszystko to, co wyżej napisano na odpowiedzialność autorów Encyklopedji Orgelbranda i p. Chorażego, informatora Słownika Geograficznego, jest niepewne — tak właśnie, jak wszystkie hipotezy, związane z zabytkami Konina, o których pisali historycy obficie i bałamutnie, dopóki prof. Łuszczkiewicz w r. 1889 nie ogłosił wspaniałych rezultatów swej naukowej w te strony wycieczki. Dzięki pracom tego wielkiego uczonego można zabytki Konina określić i zrozumieć, można na ich podstawie główne epoki dziejów grodu i miasta dostrzec i udokumentować.

Na cmentarzu przy kościele farnym stoi słynny słup drogowy koniński. Jest to monolit piaskowcowy, blok wysokości bezmała 2½ metra, stojący na kilku czworokątnych progach. Podstawą słupa jest walec, wysokości 0,22 metra, przechodzący w tępą stożek; na tym stożku opiera się kulista u spodu a zakończony wystającą płaską i wąską obręczą walcowatą trzon główny, wysoki 0,84 metra o średnicy 0,60 metra. Wyżej następują jakby dwie pokrywy kształtu spodów dzwonowych, przedzielone obręczą i zakończone kulą. Na górnej obręczy oraz nad i pod obręczą dolną widnieją napisy majuskulami łacińskimi, rozmiaru 4—5½ cm. Czytamy:

† ANNO AB INEARNAT DNI NRI
M C L. PRIMO
† IN CALIS HIE MEDIU, D CRUSPVICI.
FERE ET IUSTITIE
PUNCTV. IDICAT. ISTA VIE | FORMU-
LA C †
* QUA FIERI. PETRUS COMES HIC PA-
LATINUS. HOC IUSSIT
A SOLERT DIMI DAVIT. IT.
† EIUS UT ESSE MEMOR DIGNETUR.
OISQ. VIATOR. CV PRECE PICTI SOL-
LICITANDO DEU.

W odległej o kilka kilometrów wsi, noszącej dziwne nazwisko Stare Miasto, wznosi się zbudowany niedawno okazały kościół neo-romański. Dobudowano go do małego kościółka z piaskowca ciosu. Przy tej budowie zniesiono pierwotną wieżę. Poprzednio, już przed wiekami, przybudowano trzy szkarpy przy ścianie południowej, powiększono okna, zamurowano u portalu wejście południowe, tworząc nowe przez wieżę, wreszcie dodano małą zakrystię obok prezbiterjum. Jednonawową tę świątynię (rozmiar nawy głównej 7,46 × 9, prezbiterjum 4,30 × 5,20 metr.) zasklepioną w prezbiterjum beczkowo w ostrołuk, zamkniętą ścianą prostą z jednym oknem ostrołukowym, ozdabiają piękne rzeźby romańskie: portal bogato ornamentowany z prymitywną postacią Chrystusa w tympanonie, wsporniki tęczy ornamentowane i profilowane, gify okien i prastara krypta.

Obydwa opisane tu zabytki stanowią, zdaniem prof. Łuszczkiewicza zupełne całości architektoniczne stylu romańskiego.

T. zw. słup drogowy ma wypisaną datę: rok 1151. Styl rzeźby oraz kształt wykutych liter ustalają ten czas ponad wszelką wątpliwość. Umieszczony na słupie *versus elegiacus* powiada:

*In Calis hic medium de Cruspuici fere puue-
[tum
Iudicat ista viae formula et iustitiae,
Quam fieri iussit Petrus comes hic palatinus,
Hoc omni sollertia dimidiavit iter.
Ejus ut esse memor dignetur omnisque viator,
Cum prece propitium sollicitando Deum.*

Napis ten głosi więc, że ów znak drogi i urzędu, wskazujący prawie połowę odległości z Kruszwicy do Kalisza, wzniesić tu kazał Komes Piotr wojewoda i tak drogę tę z wielką przezornością podzielił; nadto wzywa wędrowców, aby wspominali wymienionego dostojnika w modłach do Boga.

Prof. Łuszczkiewicz stwierdza, że cały ten zbytek i materiałem (twardy piaskowiec z kamieniołomu pobliskiej wsi Brzeźna) i stylem, i techniką, i rodzajem niedostatków wiąże się z współczesnymi zabytkami w Strzelnie, których fundator jest nieomal znany, a jego podobizna z rzeźby strzelnieńskiej odpowiada postaci przestawnego Piotra Własta z sarkofagu wrocławskiego. Wspomniany uczonego wyprowadza stąd śmiało a trafny wniosek, że Piotr Dunin, wielmoża i legendarny fundator siedemdziesięciu kościołów, po powrocie z wygnania — osłepiony czy zdrowy — spędził ostatnie lata życia zdala od książąt — w Koninie. Tu mieszkał w drewnianym zamku obronnym, stąd z pracowni kamieniarskiej wysyłał wodą w dalekie strony ornamenty dla swych fundacji, tu postawił słup drogowy, jedyny w Polsce zbytek tego rodzaju — na wieczną prac swych pamiętkę. Wielki ten kręgiel stał obok zamku — drewnianego, potem od Kazimierza Wielkiego — murewanego, który zrujnowano w początku XVIII wieku, a po stu latach rozebrano tak, że ledwo kawałek fryzu w trefle cieżego w jednej z kamienic pozostał. Słup, którego czas zgrzyć nie zdołał, przeniesiono niebawem na cmentarz farnego kościoła.

Do tej gotyckiej świątyni, sięgającej murami zakrystji (dawniej kaplicy Świętej Trójcy) wieku XIV, jednak całym czarem i logiką architektury należącej do wieku XV, — do tej gotyckiej świątyni przeszły także splendory kościółka w Starem Mieście, zbudowanego w połowie XIII wieku. Łatwe ze względu na ostrołuk w budowie i charakter ornamentu w rzeźbie ustalenie czasu wzniesienia romańskiego kościoła Świętych Piotra i Pawła pozwala stwierdzić, że jeszcze w XIII wieku miasto Konin stało na pierwotnym miejscu. Niebawem opustoszało na rzecz osady przy zamku, gdzie urósł za pierwszych Jagiellonów okazały kościół Świętego Bartłomieja, należący jeszcze w XVI wieku do prebendy staromiejskiej, chociaż pleban przeniósł się już dawno do nowego Konina.

Fara konińska dobrze się zachowała, a odrestaurowano ją bardzo udanie. Pacyfikat srebrny z 1493 roku zamyka szereg pięknych szczegółów gotyku. W poważnych ramach tego porządku przechowały się ciekawe, na powołanych badaczy czekające nagrobki renesansowe szlachty Grochowskiego (1570 r.) i dwóch Przyjemskich (1595, 1611) oraz mieszczanina tutejszego Jana Zeleniusa, filozofji i medycyny doktora, fundatora kaplicy N. M. P. (1611 r.).

W wieku XVII, od roku 1631, budować się zaczął na przedmieściu konińskim klasztor ks. ks. Reformatorów. Kościół barokowy, nie wyróżniający się niczem, ufundowała w roku 1727 księżna Teofila Wiśniowiecka. Nic pewnego i ciekawego o tej dobie do dnia dzisiejszego zachowanej fundacji nie wiadomo.

Architektura początków wieku XIX w postaci murowanych kamienic z klasycznymi fasadami rozsiała się w centrum miasta — w rynku, skąd szerzyć się mogła nawet poza linje zburzonych murów warownych. Ostatnie czasy przysporzyły miastu zieleni i kwiecia. Ciche i pełne uroku kryje w sobie tak bardzo niezwykłe i piękne pamiętki: niezłomne, prawdziwie kamienne dzieła z pierwszej epoki cywilizacji Polaków.

Zygmunt Lorentz.

Przemiany Maxime'a Jollet

Strzały rewolwerowe od których z ręki madame Jollet padł jej mąż, zgasiły jedną z najbardziej dziwnych egzystencji awanturniczych. Przecięły przedewszystkiem życie pijaka i brutalą, albowiem takim stał się Jollet w ostatnich dziesięciu latach. Czternaście lat przedtem żył niejaki Maxime Jollet, szeregowiec jednego z pułków piechoty, który pewnego dnia, w przeddzień wymarszu pułku na front, ulotnił się z szeregów swojej kompanji. Przez kilka lat szukano dezertera, odnawiano kilka razy listy gończe, wyznaczano nagrody, zbiega jednak nie chwyciono. Po zawieszeniu broni, nazajutrz po ogłoszeniu powszechnej amnestji, zjawia się znowu. I w tym dniu, gdy Maxime Jollet znowu pojawia się na widowni i w rejestrach stanu cywilnego, znika bez śladu niejaka pani Germaine Leclerc.

Jollet był agentem przedsiębiorstw handlowych, sprzedających na raty. Posiadał wygląd człowieka przeciętnego: pokaźną tuszę, niezbyt silny zarost, twarz energiczną i normalny głos. To wszystko zmieniło się od chwili, gdy pewnej nocy zjawił się w mieszkaniu swojej żony, w podartym mundurze szeregowca 115-ego pułku piechoty, zdziwiony i wystraszony. Przez tydzień nikomu nie pokazywał się na oczy, a w ciągu tych siedmiu dni, zdobywając się na niesłychaną energję, cierpliwość i wytrwałość, przemienił się w panią Germaine Leclerc... Po zgoleniu brody i wąsów wezwał do siebie, przebrawszy się przedtem w suknie swojej żony, specjalistę z instytutu piękności, który poddał szacowną damę, skarżącą się na powiększający się zarost na brodzie, skomplikowanej i kosztownej a nade wszystko bolesnej operacji karczowania włosów przy pomocy prądu elektrycznego. W ten sposób dokonana została najważniejsza i najgrubsza praca. To, co teraz należało jeszcze wykonać, było trudniejsze i ważniejsze, od tego wszystko zależało. Maxime Jollet spędził niezliczone godziny przed lustrem. Zmienił wyraz twarzy, chód, ruchy. Zmienił także swój głos i nauczył się mówić nieco dziwnym, ale zupełnie możliwym i nie zwracającym uwagi falsetem, który z biegiem czasu stracił swoją ostrość i stał się głosem naturalnym.

Po ośmiu dniach wszystko było skończono. Madame Germaine Leclerc przybyła oficjalnie do Paryża na Gare du Nord, jako uciekinierka z okolicy Arras. Nikt oczywiście nie pytał jej o papiery. Zainstalowała się u swej powinowatej, pani Jollet i jeszcze tego samego dnia zgłosiła się jako wolontariuszka na naukę do pewnej szwalni, z której wyszła po dwóch miesiącach z najpochlebniejszym świadectwem.

Trzeba uprzytomnić sobie, że ta „kobieta”, ten zbiegły żołnierz, lecz pozbawiony pod każdym względem męczyzny i w pełni sił męskich, miał wówczas do wyboru kilkadziesiąt zawodów. Była wojna, męczyzn nie było i wszędzie zastępowano siły męskie, siłami kobiecimi. Maxime Jollet mógł tak samo dobrze zostać konduktorem tramwajowym lub czeladnikiem rzeźnickim w swoim przebrańiu kobiecym. Nie, on tak głęboko przejął się swoją przemianą i swoją kobiecą rolą, że postanowił grę swoją doprowadzić do najskrajniejszych ostateczności. Wstąpił więc najpierw jako pomocnica, a następnie jako „prawa ręka” dyrektora, do jednego z wielkich damskich zakładów krawieckich. W ciągu roku zaawansował na stanowisko kierowniczkę wydziału.

Na tem stanowisku pełnił netylko funkcję inspekcyjną w swoim rejonie, lecz zajmował się także bezpośrednią ekspedycją klienteli. Prezentował manekiny i miał nadzór nad przymiarkami i próbami. Eks-żołnierz, dezertier, komiwojażer z brodą, męczyzna żonaty, przebywał przez cały dzień w otoczeniu mniej lub więcej roznegliżowanych kobiet: przymierzał, dobierał materiały, krytykował, decydował. „W tem miejscu trzeba jeszcze trochę ująć — pod pachami trochę wyciąć — kombinacja powinna być trochę jaśniejsza i więcej światła przepuszczać...”

Na fotografii z tego okresu widzimy Madame Leclerc, kierowniczkę działu w wielkim paryskim zakładzie krawieckim, gdy była u szczytu swego kobiecego powodzenia. Twarz inteligentna, rysy lekko męskie, wysokie czoło, włosy zaczesane w tył, na przodzie wysoko zaandulowane, tusza pełna i wyzywająca dekolt.

Niewiadomo, czy odezwało się w nim sumienie obywatelskie, czy duma męska, czy wreszcie tylko znużenie takim trybem życia — dosyć, że Jollet porzucił swoją rolę nazajutrz

po ogłoszeniu amnestji i zamienił się znowa w brodatego, mówiącego normalnym męskim głosem, normalnie gestykulującego i po męsku poruszającego się mężczyznę. Madame Leclerc tego samego dnia nie stawiła się do pracy. Ślad i słuch po niej zaginął. Wyjechała podobno w niewiadomym kierunku.

Madame Leclerc, dyrektorka w wielkiej firmie paryskiej, prowadziła się nienagannie. Agent Jollet zaczął pić, zaczął bić żonę i dziecko i w końcu żył tylko z tego, co żona zarobiła.

Ileż to goryczy i buntu musiało się zebrać w duszy tej kobiety, która oto skazana była dostosowywać się do tak awanturniczych przemian męża! Kto to wie? Ona w każdym razie wiedziała dobrze, gdzie mąż przechowywał swój rewolwer i znalazła go, gdy Jollet pewnej nocy, rozwścieczony płaczem dziecka, które przeszkadzało mu spać, biciem i duszeniem usiłował je uspokoić.

Jollet zwał się martwy na podłogę. Ciężki, silnie rozwinięty mężczyzna. Rzadka broda przyprószona siwizną. Pod oczami zwisające worki. Twarz podupadłego komedjanta...

Za trumną szło kilku sąsiadów, kilku agentów asekuracyjnych, dawnych kolegów i pół tuzina dobrze ubranych pań: koleżanki pani Leclerc z wielkiego paryskiego zakładu krawieckiego.

El. J.

Krwawa zagadka cyganów

Cały świat cywilizowany stanął parę miesięcy temu przed obliczem krwawego problemu, kiedy to banda cyganów aresztowana w Koszycach, przyznała się do popełnienia wielu mordów, a ponadto gdy bandyci przy ciśnięciu do muru, przyznali się, że spożywali mięso trupów.

Zbliżający się proces ludożerców w Koszycach wywołuje zrozumiałe zainteresowanie. Już dziś, kiedy śledztwo zostało ukończono, ukazują się potworne zbrodnie w swej całej okropności, że zadajemy sobie pytanie: ludzie, czy szkalacie?

Wiedeński sprawozdawca „United Press” mr. Best, udał się swoim Fordem do Koszyc, zaprosiwszy trzech kolegów ze sobą. Wrażenia swoje opisuje p. Best w sposób następujący:

Bardzo uprzejmy sędzia śledczy, na którego biurku piętrzą się akta tej potwornej sprawy, przyrzekł pokazać nam bandytów i udzielić wyjaśnień.

Setki protokołów spisał już sędzia z bandą nieludzkich zbrodniarzy, którzy lata całe grasowali bezkarnie w kolicznych lasach. Śledztwo prowadzone było równocześnie przez kilku urzędników i trwało przeszło 6 miesięcy.

103 cyganów znalazło się pod kluczem. Bezustannie zmieniali swe zeznania, tak, że śledztwo stawało się coraz bardziej uciążliwe. Podobnego procesu nie zna Europa.

Kroniki sądowe nie notują faktu, by stu trzech morderców odpowiadało równocześnie przed sądem za popełnienie wspólnej zbrodni.

Kto wie, jak długo trwałyby morderstwa — opowiada nam sędzia — gdyby nie fakt, że w grudniu ub. roku znaleziono w kałuży krwi trupa kupca Józefa Rusnaka, a w chwili, gdy żandarmi zbliżyli się ku zwłokom, stojący opodal cyganie rozpoczęli ucieczkę.

Natychmiast ich aresztowano. Rozpoczęto śledztwo też w innym kierunku, w ostatnich czasach popełniono bowiem w okolicach całej szeregu niewyjaśnionych mordów. Przyciśnięci do muru, przyznali się do popełnienia dziesięciu morderstw.

Ani jednak herszt bandy, Aleksander Filke, ani żaden z cyganów, nie mogli podać dokładnie daty dokonanych mordów, niemniej trudno było wydobyć z nich, gdzie znajdują się zwłoki ofiar.

Daremnie całe patroli żandarmerji szukały w okolicznych lasach śladów zwłok. Zagadka stawała się coraz bardziej zawiłą. Nigdzie ani śladu trupów pomordowanych ofiar.

W ogniu krzyżowych pytań umiał zawsze znaleźć wykrętą odpowiedź herszt bandy Filke. Szesnaście dni nie odkrywał ponurej tajemnicy.

Aż dnia pewnego kazał się zaprowadzić do sędziego śledczego — spojrzął na niego dziwnym wzrokiem i oświadczył:

— Jeżeli dostanę papierosa i wódki, złożę zeznania.

Dano mu. Wypił duszkiem. Zapalił namiętne papierosa, potem rzekł:

— Panie sędzio! Wstydę się, ale przyznać muszę, bo mię te ciągle badania męczą i

chce mieć spokój. Pomordowanych ofiar nikt nie znajduje.

- Dlaczego?
- Bo myślimy zwłoki zjedli.

Można sobie wyobrazić zdumienie i przeżalenie sędziego śledczego. Nie chciano nawet początkowo wierzyć tym strasznym zeznaniom. Ale herszt bandy widocznie dumny z siebie — opowiadał zaczął szczegóły. Zwłoki ludzkie banda poćwiartowała, następnie wsadzono je do worków, a kobiety otrzymały rozkaz gotowania i smażenia ludzkiego mięsa.

W tym dniu udała się komisja na miejsce zbrodni. Otoczono obóz cygański, przeprowadzono dokładne poszukiwania za pozostałościami potwornych uczę kanibalowych.

Znaleziono kości psów, kotów, a potem kości... ludzkie.

Cyganki przyznały się ze spokojem, że na rozkaz mężów musiały z ludzkiego mięsa przy gotowywać pieczeń.

Lista pomordowanych ofiar pozostanie zda je się zagadką. Do dwunastu mordów przyznali się z całym cynizmem. Nie wiedzą jednak dokładnie kto mordował bezpośrednio, kto mięso krajał, gotował, względnie smażył.

Pamiętają tylko, że m. in. zamordowali jakiegoś młodego studenta, jakąś żebraczkę i dwóch szmuglerów — w jednym dniu dokonali raz dwóch mordów.

Pozwolono nam podczas spaceru więziennego oglądać zbrodniarzy.

Gdy ujrzeli grupkę dziennikarzy byli początkowo zdziwieni, a gdy jeden z kolegów ustawił aparat fotograficzny, wybuchli home-rycznym śmiechem i byli w doskonałym humorze.

Są to ludzie przeważnie 20—22 lat, wiedzą, że czeka ich szubienica — ale nie wiedzą, że potworne dzieje ludzkości wzbogacone zostały przez nich o jeden krwawy rozdział więcej.

Jedno jeszcze trzeba stwierdzić.

Ci ludzie nie umieją ani czytać, ani pisać, w życiu nie przekroczyli progu kościoła — zupełnie dzikie stworzenia, niezdolne opanować swych instynktów.

W ich ciemnych, dzikich oczach jest zamordowany człowiek niczem innym, jak zabitem zwierzęciem.

Zapóźno może pomyśli ludzkość, ażeby tych parjasów zakłamanego romantyzmu, wychowac po myśli najprymitywniejszych zasad ludzkości.

Spółka Akcyjna wyrobów wełnianych i bawełnianych M. SILBERSTEINA w Łodzi. Bilans w dniu 31 grudnia 1927 r.

STAN CZYNNY		STAN BIERNY	
Złote w złotych		Złote w złotych	
Kasa, dewizy i portfel	289,409.11	Kapitał zakładowy	5,000,000.—
Papiery publiczne	115,047.50	Kapitał rezerwowo	421,570.88
Towary, surowce i materiały	2,323,850.25	Kapitał amortyzacyjny	1,154,091.69
Nieruchomości	1,990,853.46	Dług obligacyjny	2,209,172.—
Maszyny i urządzenia	4,411,936.72	Banki	311,018.23
Banki	389,499.87	Wierzyciele	1,005,365.07
Dłużnicy	814,368.60	Podatek majątkowy	6,672.74
Pozycja do stopniowego umorzenia	875,553.98	Dywidenda	125,000.—
Rachunki ewidencyjne	200,208.93	Wynagrodzenie Zarządu	60,000.—
		Podatek dochodowy	75,000.—
		Zobowiązania długoterminowe	837,572.89
		Pozostałość zysku	5,045.99
		Rachunki ewidencyjne	200,208.93
	<u>11,410,728.42</u>		<u>11,410,728.42</u>

Rachunek zysków i strat za rok 1927.

	Złote w złotych
Przychód	1,829,409.93
Rozchód	1,000,681.85
Zysk	<u>828,728.08</u>

Podział zysku.	
Na kapitał amortyzacyjny	500,741.58
Na kapitał rezerwowo	16,388.33
Na pozycję do stopniowego umorzenia	46,541.18
Na wynagrodzenie dla Zarządu	60,000.—
Na podatek dochodowy	75,000.—
Na dywidendę	125,000.—
Przeniesienie na rok 1928	5,045.99
	<u>828,728.08</u>

Złote w złotych rozumieją się według relacji, określonej w Rozp. Prez. Rzplitej z dnia 20 stycznia 1924 r. (Dz. U. Nr. 37 poz. 401).

OGŁOSZENIE.

Kasa Chorych m. Łodzi zawiadamia ogół ubezpieczonych, że w dn. 18. XI. 1928 r. odbędą się wybory do Rady Kasy Chorych m. Łodzi. Czynne prawo wyborcze będą mieli ci ubezpieczeni, którzy w dniu 19. VIII. 1928 roku ukończą 20 lat, t. j. urodzeni do dnia 19. VIII. 1908 r. włącznie.

Ponieważ bardzo często się zdarza, iż pracodawcy w zgłoszeniach do Kasy Chorych nie podają daty urodzenia (dnia i miesiąca) pracowników, ci ubezpieczeni nie mogą być wniesieni na listy wyborców, o ile przed dniem ogłoszenia wyborów sami nie wniosą reklamacji, popartej dowodem osobistym lub metryką urodzenia, do Wydziału Ewidencji Ubezpieczonych Kasy Chorych m. Łodzi (poprzeczna oficyna, II piętro, pokój 49) w godzinach urzędowych, t. j. od 8-ej rano do 3-ej po południu.

Z dniem wyłożenia spisu wyborców, reklamacje wnosić należy do odpowiednich Biur Reklamacyjnych.

Kasa Chorych m. Łodzi:
 (—) Szuster, Wicedyrektor.
 (—) F. Kałużyński,
 Przewodniczący Zarządu.

Tow. Górniczo-Przemysłowe „SATURN” Sp. Akc. BILANS W DNIU 31 GRUDNIA 1927 R.

AKTYWA.		PASywa.	
Złote i grosze		Złote i grosze	
1. Koncesje	18,778,752.31	1. Kapitał akcyjny—150,000 szt. akcji po Zł. 200 nom.	30,000,000.—
2. Wyłączności górnicze	21,428.57	2. Kapitał zapasowy	1,326,472.64
3. Grunta: w Czeladzi Zi. 232,198.29 Wojkowicach 169,459.31 kopalni „Mars” 73,428.26	475,085.86	3. Rezerwa specjalna na różne zobowiązania	7,153,340.85
4. Budynki kopalniane i domy mieszk. 23,930,478.92		4. Kapitał amortyzacyjny: pozostałość Zi. 18,613,555.03 dopisano za 1927 r.	3,017,399.79
5. Maszyny, urządzenia i ruchomości 12,105,628.25		5. Kapitał konwersyjny obligacyj	1,802,047.50
6. Budynki, maszyny i urządzenia cegielni w Rogoźniku	424,022.05	6. Rachunki bieżące w bankach	220,362.71
7. Budowle i urządzenia w wykonaniu 120,799.53	39,449,228.53	7. Wierzyciele	3,046,519.35
8. Rachunki bieżące w bankach	332,894.81	8. Podatek majątkowy—pozostałość	392,100.29
9. Kasy	103,975.45	9. Dywidenda niewypłacona	80,020.06
10. Weksle i przekazy	635,670.72	10. Składający kaucję	112,114.67
11. Papiery procentowe i wartościowe w kasie i depozytach	454,163.60	11. Fundusz im. ś. p. J. Kunitzera	5,838.—
12. Kaucje otrzymane	97,718.—	12. Depozyty członków Rady Zarządzającej	420,000.—
13. Dłużnicy	4,253,035.31	13. Akcepty kaucyjne	100,000.—
14. Materiały w magazynach	1,457,635.16	14. Akcepty	58,800.—
15. Produkty	246,912.24	15. Sumy przejściowe	8,591.81
16. Papiery procentowe im. ś. p. J. Kunitzera	5,838.—		
17. Depozyty członków Rady Zarządzającej	420,000.—		
18. Różni za akcepty gwarancyjne	100,000.—		
	<u>66,357,162.70</u>		<u>66,357,162.70</u>

RACHUNEK STRAT I ZYSKÓW ZA 1927 R.

WINIEN		MA	
Złote i grosze		Złote i grosze	
1. Podatek od nadań górniczych	16,682.36	1. Dochód z eksploatacji kopalni	3,119,055.89
2. Procenty obligacyjne i bankowe zapłacone mniej otrzymane	143,775.48	2. Dochód z eksploatacji majątków i leśn.	5,891.53
3. Amortyzacja za 1927 r.	3,017,399.79	3. Wpływ należn. dawniej spis. na straty	10,213.77
	<u>3,177,857.63</u>	4. Różnice kursowe	42,696.44
	<u>3,177,857.63</u>		<u>3,177,857.63</u>

Wydział Rejestru Handlowego Sądu Okręgowego w Łodzi.

Do Rejestru Handlowego Sądu Okręgowego w Łodzi, Działu A. i B. wniesiono następujące wpisy: za Nr. Nr.:

Nr. 75/B. „Towarzystwo Akcyjne bawełnianej i gumowej manufaktury Ferdynanda Geldnera w Łodzi”. Zarząd obecnie stanowią: Oskar Abel, Leopold Rudziński i Reinhold Wöle oraz kandydaci: Wolde-mar Heun, Dr. Artur Eltram i Ella Eisenbraun.

Nr. 834/B. „Zakłady Przemysłowe Jan Krauze w Andrespolu, stacja Andrzejów, Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością”. Siedziba firmy jest w miejscowości Andrespol (farbyka) i Łódź, ul. Andrzejów 24 (kantory sprzedaży). Kapitał zakładowy wynosi 160,000 złotych i jest podzielony na 100 udziałów po 1,600 złotych każdy.

Nr. 10821/A. „Robert Rembieliński” z siedzibą w Łodzi, Andrzejów 28. Firma obecnie brzmi: „Dr. Robert Rembieliński i S-ka, Apteka w Łodzi”, prowadzenie apteki, Łódź, ul. Andrzejów 28. Właścicielem: Dr. Robert Rembieliński, Łódź, ul. Andrzejów Nr. 28, Emilia Królikowska, Warszawa, ul. Wilcza 47 i Lucyna Królikowska z Warszawy, ul. Wilcza 47. Spółka firmowa. Czas trwania spółki tryletni z automatycznym tryletnim przedłużaniem. Zarząd należy do Dr. Rembielińskiego, który jest upoważniony do podpisywania umów, weksli, oraz czeków pod stemplem firmy. Interocy wspólnicy nie zawarli.

Nr. 1353/A. „Otto Goldamer” z siedzibą w Łodzi, Widzewska 68. Firma obecnie brzmi: „Fabryka Maszyn i Odlewnia Żelaza Otto Goldamer”, Łódź, Kilińskiego 74 i 76. Prokurentami firmy są: Otto Goldamer i Wila-Albert Goldamer.

Nr. 10945/A. „Pechman i Dąb” z siedzibą w Łodzi, Piotrkowska 42. Na mocy prywatnej umowy firma została zlikwidowana.

Nr. 10701/A. „Władysław Zyberstajna” z siedzibą w Łodzi, Narutowicza 83. Prokurentem firmy jest Adam vel Aron Szykier, zamieszkały w Łodzi przy ulicy Sienkiewicza 6.

Nr. 6276/A. „Mechaniczna fabryka pończoch i skarpetek Otto Teodor Kinel” z siedzibą w Łodzi, Wólczańska 74. Prokurentem firmy jest Helena Kühnel, zamieszkała przy ulicy Wólczańskiej 74.

Nr. 10585/A. „Sterolin A. F. Seidel i A. Gibalka” z siedzibą w Łodzi, Przędzalniana 33. Na mocy aktu z dnia 26 maja 1928 roku za Nr. 2142, zeznanego przed notariuszem Jarzębelskim w Łodzi ze spółki wystąpił Karol Gajdziński i udziały swoje scedował na rzecz pozostałych wspólników. Każdy ze wspólników ma prawo samodzielnie podpisywać korespondencje, rachunki, pokwitowania i wszelkie wogóle dokumenty, nie mające charakteru zobowiązań pieniężnych, otrzymywać wszelkie należne sumy, pieniądze za przekazami i przesyłki, oraz prowadzić sprawy sądowe. Weksle zaś akcepty, indosy, czeki, kontrakty, umowy, prokury i inne pełnomocnictwa oraz wszelkie zobowiązania pieniężne podpisują obaj wspólnicy łącznie pod stemplem firmy.

Nr. 636/B. „Bank Przemysłowców, Towarzystwo Akcyjne” w Poznaniu, Oddział w Łodzi. Pełnomocnik Józef Sobczyński upoważniony jest do podpisywania za oddział łódzki łącznie z dyrektorem Oddziału lub też łącznie z drugim pełnomocnikiem Janem Bukowskim, który podpisuje za Oddział łódzki nietylko łącznie z dyrektorem Oddziału, lecz także z pełnomocnikiem Józefem Sobczyńskim.

Nr. 5440/A. „Adolf Sznajder wł. Lucjan Sznajder” z siedzibą w Łodzi. Firma obecnie brzmi: „Lucjan Sznajder i S-ka”. Zakład fryzjerski, Łódź, ul. Piotrkowska 76. Wspólnikami są: Lucjan Sznajder, Łódź, ul. Zielona 11 i Bronisław Eftminowicz, Łódź, ulica Przejazd 46. Spółka firmowa. Czas trwania spółki nieograniczony. Zarząd należy do obydwóch wspólników, przyczem Lucjana Sznajdra zastępuje we wszystkich czynnościach zarządu żona jego Julia Sznajder. Wszelkiego rodzaju zobowiązania, weksle, czeki, przekazy podpisuje Bronisław Eftminowicz i Julia Sznajder łącznie pod stemplem firmy. Natomiast każdy z zarządców upoważniony jest samodzielnie do odbierania korespondencji i przesyłek. Interocy wspólnicy nie zawarli.

Nr. 10240/A. „Stefanija Ptaszyńska” z siedzibą w Łodzi, Sienkiewicza 34. Firma została zlikwidowana.

OGŁOSZENIE Nr. 22.

Do rejestru Handlowego Sądu Okręgowego w Łodzi wniesiono następujące wpisy za Nr. Nr.:

Nr. 795/A. „Edward Babiacki” z siedzibą w Łodzi, Długa 91. Siedziba firmy mieści się obecnie przy ulicy Karolewskiej 62 w Łodzi.

Nr. 745/B. „Polski Lloyd, Spółka Akcyjna” z siedzibą w Warszawie, Oddział w Łodzi, Kilińskiego 45. Rudolf Stark przestał być prokurentem, a na jego miejsce powołano Wiktora Cemaacha.

Nr. 66/B. „Towarzystwo Przemysłu Drzewnego „Silwars”, spółka z ograniczoną odpowiedzialnością”. Kapitał zakładowy spółki został powiększony o złotych 70,000 i obecnie wynosi 100,000 złotych i jest podzielony na 1000 udziałów po złotych 100 każdy. Zarządcami obecnie są: Alfred Seydel, zamieszkały w Łodzi przy ul. Zawadzkiej 3 i Gottfried Fuchs, za-

mieszkały w Berlinie, Nikolassee Judenstrasse Nr. 29-31. Kupno i sprzedaż nieruchomości, obciążenie nieruchomości i wszystkie sprawy, dotyczące praw hipotecznych, ustanawianie i odwoływanie prokurentów i pełnomocników handlowych, wystawianie i akceptowanie weksli, zbycie przedsiębiorstwa i zawieranie umów, na podstawie których świadczenia i obowiązki firmy miałyby trwać dłużej jak jeden rok wymagają łącznego podpisu obu zarządców. Natomiast każdy z zarządców ma prawo samodzielnie podpisywać wszystkie pozostałe umowy i dokumenty, oraz zrywać weksle, wystawiać czeki i inkasować rachunki, podpisywać korespondencję handlową, otrzymywać wszelkie przesyłki, pieniądze i ładunki, prowadzić sprawy sądowe, reprezentować spółkę przed wszelkimi władzami oraz udzielać upoważnień do zakładania poszczególnych spraw spółki.

Nr. 402/B. „Bank Ludowy w Warszawie, Spółka Akcyjna”, Oddział w Łodzi. Likwidatorami są: Antoni Justański z Warszawy, 8-ko Krzyska 20 i Karol Rybka, urzędnik rachuby Sądu Okręgowego w Warszawie. Firma znajduje się w likwidacji.

Nr. 836/B. „Ars-film”, Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością z siedzibą w Łodzi, Przejazd 40. Kapitał zakładowy spółki wynosi 10,000 zł. i jest obecnie podzielony na 500 udziałów po 20 złotych każdy.

Nr. 676/B. „Pepege”, spółka z ograniczoną odpowiedzialnością z siedzibą w Łodzi, Narutowicza Nr. 39. Likwidatorem jest Antoni Halperin. Firma znajduje się w likwidacji z dniem 1 lipca 1928 roku.

Nr. 453/B. „Fabryka maszyn i odlewnia żelaza Müller i Seidel, Spółka Akcyjna” z siedzibą w Łodzi, Pańska 96. Prokurentami firmy są: Leonard Jaskiewicz (Łódź, Kopernika 45), Fryderyk Kühnel (Łódź, Kilińskiego 60) i Wacław Koźmiński (Łódź, Orla 3) z prawem łącznego podpisywania we dwóch za wyjątkiem własnych weksli firmy i aktów notarialnych, które winny być podpisywane przez jednego z nich łącznie z jednym członkiem zarządu.

Nr. 289/B. „Pabjanickie Towarzystwo Akcyjne Przemysłu Chemicznego w Pabjanicach”. Zarząd obecnie stanowią: Dr. Edward Ziegler z Bazylei (Szwajcaria), Dr. Gadiant Engi z Riehen pod Bazyleą, Dr. Kurt Schweikert z Łodzi, ul. Aleja Kościuski 85, Herman Thommen z Pabjanic, ul. Piłsudskiego 32, Alfred Schmid Respinger z Bazylei, ul. Mittlerstrasse Nr. 19 oraz zastępcy członków zarządu: Dr. Schult-hess z Bazylei, ul. Grellingerstrasse Nr. 34 i Jerzy Schweikert z Łodzi, ul. Gdańska 49.

Nr. 1692/A. „Aleksander Arndt” z siedzibą w Łodzi, Senatorska 23. Wyrokiem Sądu Okręgowego w Łodzi z dniem 24 maja 1928 roku ogłoszona została firma upadłość, a kuratorem mianowano adw. Neumarkę z Łodzi.

Nr. 11332/A. „Jakób M. Cwilling i S-ka” z siedzibą w Łodzi, Nowomiejska 8. Wyrokiem Sądu Okręgowego, Wydział Handlowy z dniem 28 czerwca 1928 roku firmie odroczone wypłaty do dnia 28-go września 1928 roku i nazorczą sądowym mianowano adwokata Edmunda Moszkowskiego, który za zgodą Sędziego - Komisarza upoważnił współwłaściciela firmy Jakóba Mendla Cwillinga do wykonywania poszczególnych czynności, związanych z prowadzeniem przedsiębiorstwa.

Nr. 9944/A. „Władysław Kopczyński” z siedzibą w Łodzi, Główna 32. Firma została zlikwidowana.

Nr. 643/A. „J. Schultz” z siedzibą w Łodzi, ul. Sienkiewicza 34. Firma została zlikwidowana.

Nr. 5414A. „Bronisław Wiśniewski” z siedzibą w Łodzi, ul. Moniuszki 5. Firma obecnie brzmi: „Bar-Bachus”, wł. Bronisław Wiśniewski. Siedziba firmy mieści się obecnie przy ulicy Narutowicza Nr. 1 w Łodzi.

Nr. 2343/A. „M. L. Brodacz, dawniej B. Bretszneider i Brodacz” z siedzibą w Zgierzu. Na mocy wyroku Sądu Okręgowego w Łodzi, Wydział Handlowy z dnia 2 czerwca 1928 roku firmie „Mowsza Lajb Brodacz” została ogłoszona upadłość z oznaczeniem chwili otwarcia upadłości tymczasowo na dzień 2-gi czerwca 1928 roku. Kuratorem upadłości mianowany został adwokat Pawłowski, zamieszkały w Łodzi przy ulicy Gdańskiej 93.

Nr. 9571/A. „Fabryka wyrobów drzewnych Teofil Nowacki” z siedzibą w Łodzi, Pomorska 36. Siedziba firmy mieści się obecnie przy ulicy Juliusza 13 w Łodzi.

Nr. 10441/A. „British Company, właściciele firmy Bracia Herman i S-ka, Spółka Komandytowa” i Ch. L. Lipnowski” z siedzibą w Łodzi, Zielona Nr. 8. Firma obecnie brzmi: „British Company”. Właściciele Bracia Herman, Markus Aurbach i Ch. L. Lipnowski. Wspólnikami obecnie są: Chaim-Lejb Lipnowski, Markus Aurbach, Bendel Herman i Jakób Herman. Czas trwania spółki określony został do 1-go stycznia 1929 roku z automatycznym rocznym przedłużaniem. Zarząd należy do wszystkich wspólników oraz Izraela Isera Hermana i Hermana Aurbacha. Umowa kupna towarów, prokury, zobowiązania

weksle, protesty i akcepty podpisują pod stemplem firmy Lipnowski, jeden z Aurbachów i jeden z Hermanów łącznie; tyra na wekslach, winny być podpisywane pod stemplem firmy przez Lipnowskiego łącznie z jednym z pozostałych zarządców. Wszelkie inne dokumenty, pokwitowania z odbioru pieniędzy, pokwitowania pocztowe, czeki i korespondencję podpisuje każdy z zarządców samodzielnie pod stemplem firmy.

Nr. 10472/A. „Uszer Stern i S-ka” z siedzibą w Łodzi, Kilińskiego 50. Sura Łaja Międzyrzeczka wysłała zamaj, wobec czego współniczką Uszera Sterna obecnie jest Sura Łaja Stern. Weksle, tyra na wekslach, wogóle wszelkie zobowiązania spółki podpisuje samodzielnie Uszer Stern pod stemplem firmy.

Nr. 7656/A. „Jan Candryk”. Firma została zlikwidowana.

Nr. 5344/A. „Kellich i Golda” z siedzibą w Łodzi, Wólczńska 2 57. Na mocy aktu z dnia 12-go kwietnia 1928 roku za Nr. 1498, zeznanego w kancelarii Notariusza Jarzębskiego w Łodzi ze spółki wystąpił Karol Schoen. Zarząd obecnie należy do obydwu wspólników. Każdy z nich w imieniu firmy ma prawo samodzielnie podpisywać wszelką korespondencję, rachunki, pokwitowania, oraz czeki i indosy na wekslach; otrzymywać wszelkie należne spółce sumy i inny majątek, a w tej liczbie pieniądze za przekazami, korespondencję, przesyłki i ładunki; reprezentować spółkę u wszelkich władz; prowadzić z prawem substytucji wszystkie sprawy sądowe. Weksle zaś akcepty, kontrakty, umowy, pełnomocnictwa i wszelkie wogóle zobowiązania pieniężne podpisują wspólnicy łącznie pod stemplem firmy.

Nr. 3334/A. „Bracia Zapp” z siedzibą w Łodzi, Juliusza 18. Prokura Hermana Bauera została cofnięta.

Nr. 3141/A. „Landsbergier, Zietenfeld i Redel” z siedzibą w Łodzi, Składowa 15. Wyrokiem Sądu

Okręgowego, Wydział Handlowy, z dnia 5 czerwca 1928 roku odroczone wypłaty firmie do dnia 3-go września 1928 roku i nadzorczą mianowano adw. Fryderyka, który za zgodą sędziego - Komisarza upoważnił Moszka-Dawida Landsberga do nabycia za akceptacją mebli, Chaima vel Barrego Zietenfelda do zakupywania również za akceptacją nadzorczy towarów gotowych oraz inkasowania należności.

Nr. 1467/A. „G. A. Teschner” z siedzibą w Łodzi, Główna 8. Firma została zlikwidowana.

Nr. 13002/A. „Frenkel i 26lkowski” z siedzibą w Łodzi, Kilińskiego 102. Na mocy aktu intercyzy, zeznanego 19 listopada 1927 roku za Nr. 3987 przed notariuszem Jezewskim w Łodzi ustalona została między Samuelem Frenklem i żoną jego Adelą wyłączenie majątku i wspólność dorobku.

Nr. 3576/A. „Bracia Pietkowsky” z siedzibą w Łodzi, Ogrodowa 4. Ogłoszona firmie upadłość została podniesiona.

Nr. 10972/A. „Sprzedaż samochodów inż. Mołżesz i Józef Poznański” z siedzibą w Łodzi, Piotrkowska 90. Firma została zlikwidowana.

Cheesz Otrzymać Posadę?

Musisz ukończyć kursa fachowe, korespondencyjne prof. Sekułowicza, Warszawa, Żórawia 42. Kursy wyuczają listownie: buchalterji, rachunkowości kupieckiej, korespondencji handlowej, stenografji, nauki handlu, prawa, kaligrafji, pisania na maszynach, towaroznawstwa, angielskiego, francuskiego, niemieckiego, pisowni, (ortografji). Po ukończeniu świadectwo. Żądajcie prospektów.

Spółka Akc. Piotrkowskiej Manufaktury

Zarząd w Łodzi

Bilans w dniu 31 grudnia 1927 roku

STAN CZYNNY.	Złote w złotych	STAN BIERNY.	Złote w złotych
Kasa, dewizy i portfel	217,443.41	Kapitał zakładowy	4,000,000.—
Papiery publiczne	78,750.—	Kapitał zapasowy	53,414.82
Czesanka, przędza i materiały	926,132.47	Kapitał amortyzacyjny	752,831.87
Nieruchomości	2,693,766.54	Wierzyciele	1,770,655.22
Maszyny, urządzenia i utensylja	1,999,736.23	Podatek majątkowy	34,109.01
Osada „Bugaj”	218,679.81	Dywidenda	120,000.—
Dłużnicy	715,822.32	Wynagrodzenie Zarządu	80,000.—
Rachunki ewidencyjne i przejściowe	618,150.44	Podatek dochodowy	35,000.—
		Pozostałość zysku	4,319.86
		Rachunki ewidencyjne	618,150.44
			7,468,481.22
			7,468,481.22

Rachunek zysków i strat za rok 1927.

	Złote w złotych
Przychód	976,154.33
Rozchód	444,561.48
Zysk	531,592.85

Podział zysku.

Na kapitał amortyzacyjny	279,677.21
Na kapitał rezerwy	12,595.78
Na wynagrodzenie dla Zarządu	80,000.—
Na podatek dochodowy	35,000.—
Na dywidendę	120,000.—
Przeniesienie na rok 1928	4,319.86
	531,592.85

Złote w złotych rozumieją się według relacji, określonej w Rozp. Prez. Rzczpl. z dnia 20 stycznia 1924 r. (Dz. U. Nr. 37, poz. 401).

273

KOMPLETNE URZĄDZENIA BIUROWE

Pabjanickiej Fabryki Mebli Biurowych o gwarantowanej jakości poleca po cenach fabrycznych

Przejazd 4 **JÓZEF LEŻON** Tel. 2 - 23.

DLACZEGO DOBRZE JEST

kupować książki szkolne w księgarni

M. ARCTA w Warszawie?

- 1—PONIEWAŻ ma ona wielki wybór podręczników do wszystkich szkół średnich i zawodowych, tak w Warszawie jak i na prowincji, własnego nakładu oraz wszystkich wydawców w Polsce, a przedewszystkiem Gebethnera i Wolffa, K. Jakubowskiego, Książnicy-Atlasu i św. Wojciecha, po tej samej cenie co u nakładców.
- 2—PONIEWAŻ liczny personel i obszerny lokal pozwalają obsłużyć klientelę bez tłoku i uciążliwego czekania.
- 3—PONIEWAŻ książki nieodpowiednie, czy omyłkowo kupione, mogą być w ciągu 3 dni zamienione na inne (zamianę jednak uprasza się załatwiać w godzinach przedpołudniowych).
- 4—PONIEWAŻ Księgarnia M. ARCTA położona jest w centralnym punkcie miasta, przy zbiegu Nowego Światu i Chmielnej, a dojsie lub dojazd z całej Warszawy są bardzo dogodnie i nie zabierają dużo czasu. (Tramwaje 0, 1, 2, 9, 18, 19, 25, P.).
- 5—PONIEWAŻ oddział wysyłkowy jest tak zorganizowany, że zamówienia klientów z poza Warszawy są wykonane odwrotnie, z dołączeniem jedynie ścisłych kosztów przesyłki.

Dlatego więc zwróćcie się po książki

DO KSIĘGARNI

M. ARCT

WARSZAWA

NOWY-ŚWIAT 35

Redakcja i Administracja w Łodzi
ul. Piotrkowska Nr. 85. Telefon Nr. 45-50

Ceny ogłoszeń:

w jednej szpalcie. Drobne 10 groszy za wyraz.

Strona ogłoszeniowa dzieli się na 4 szpalty. Ogłoszenia zwyczajne 25 groszy za 1 milimetr wysokości w jednej szpalcie. Ogłoszenia w tekście 40 groszy za milimetr wysokości w jednej szpalcie.